№ 12 Warszawa, dnia 13 (25) Marca 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Z końcem kwartału przypominamy ponowienie prenumeraty na czas dalszy, a co najlepiej uskuteczniać za pośrednictwem samej Redakcyi.

Cena prenumeraty na **Tygodnik Mód i Powieści** wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25.
Półrocznie. . . . rs. 2 k. 50.
Rocznie. . . . . rs. 5.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok Nr. 3.**

W tym jeszcze kwartale rozpoczniemy druk powieści p. t. **Walki życia. Właściciel huty żelaznej**, przez *Jerzego Ohnet*, przekład J. B., której obecnie dwudziesta wyszła edycya. Inna tegoż autora p. t. Sergiusz Panin uwieńczoną została przez akademią paryzką.

NA MORZU.

NOWELLA

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

V.

Obiad w takich warunkach nie był wcale ciekawy. Najwięcej uczuł to stary Stefan. Misternie zwinięte serwety nie zwróciły najmniejszej uwagi. Wszyscy zasiedli do stołu tak obojętnie, jakby nietylko serwet ale i żadnych przyborów na stole nie było. Pani Izabella w świeżej sukni i utrefiona *à la chinoise*, była zamyślona i od czasu do czasu wodziła okiem po Adeli, druga ciocia była jeszcze w duchu między cieletami, które przed chwilą własną karmiła ręką. Adela milczała jak morska skała, którą zimne otaczają bałwany. Prawnik lepił z chleba ku wielkiemu zmartwieniu Stefana jakieś heroglify, podobne do paragrafów kodeksu. Jeden tylko Władysław, mimo porażenia całej fantazyi swojej, próbował rozmowy, ale ta nie kleiła się wcale.

I tak mijała chwila za chwilą, półmisek szedł za półmiskiem, aż wreszcie, gdy już prawnik całe stosy paragrafów nalepił, skończył się obiad. Lżej zrobiło się na sercu Władysławowi, gdy usłyszał suwanie nóg i krzeseł i obowiązkowe całowanie rąk dwóch cioci. Całując w rękę ciocię Klotyldę, szepnął półgłosem, że chciałby obejrzeć jej gospodarstwo. Chciał przy tej sposobności rozmówić się na uboczu ze swoją protektorką. Nie przeczuwał jednak niestety nieszczęśliwy bohater, jak trudną przy cielętach będzie jego sytuacya.

Serdecznie ścisnęła go ciocia za rękę i nie puściła jej aż na dziedzińcu przed drzwiami, za któremi odzywały się tęskne głosy pieszczonych wychowanek.

— Prawdziwą sprawiasz mi pan radość — rzekła do niego, bo to paplanie w pokoju o niczem jest mi wstrętne. Nasze kobiety myślą, że tem gościa ubawią, a biedny gość tymczasem kręci się znudzony na krześle. Tylko próżniactwo i nic więcej! Widziałeś pan najmłodsze cielątko moje?

— Chciałem z panią na osobności pomówić — przerwał nieszczęśliwy bohater, widząc dwadzieścioro cieląt wypadających z otworzonych drzwi.

— Na osobności, powiadasz pan—rzekła z uśmiechem szczęścia ciocia. — Czemuż nie powiedziałeś pan tego przed otworzeniem stajni?

— Sądzę, że takie towarzystwo bezmowne i bezrozumne...

— Źle pan sądzisz! Zaręczam panu, że ot ta krasa cieliczka z gwiazdką na czole tak mnie we wszystkiem rozumie, że mało co nie przemówi! Patrzno pan na jej oczy rozumne...

— Nie przeczę temu. Ale nie sądzę, aby ta wesoła drużyna mogła nam przeszkadzać w naszej rozmowie.

— Co pan mówisz! Więcej niżeli ludzie. Czyż można z uwagą kogo słuchać patrząc na tę krasulkę z białą nóżką, która tak rozkosznie buja, aż się serce raduje? Powiedz pan sam, czybyś na widok takiej pieszczotki nie zapomniał o wszystkiem?

Bohater westchnął a ciocia prawiła dalej:

— Mówię panu, że taka wesoła drużyna to lepsza od ludzi. Ludzie są niewdzięczni, sprawiają nam różne zmartwienia, a to biedactwo trzy dni będzie lizać po rękach, jeżeli raz tylko dostało soli. Zaraz panu pokażę... Nastusiu przynieś topkę soli! Spiesz się prędko, na jednej nodze!

Władysław, który właśnie ze swoją protektorką chciał o swoich marzeniach rozmówić się, był teraz blizkim rozpaczy. Nie tylko dwadzieścia cieląt sprawiało mu niemałą konkurencyą ale przybywała jeszcze do tego niemniej jak cielęta protegowana Nastusia, która w tej chwili z topką soli w ręku powiększyła zacne towarzystwo. Westchnął po raz drugi.

— Pragnę dzisiaj więcej niż kiedykolwiek rady i pociechy, ozwał się smutno Władysław, i przyznam się pani, któraś była dla mnie zawsze łaskawą...

— Bądź pan przekonany, że wielce mu sprzyjam... Nastusiu nie daj lizać całej topki... jako człowiekowi zacnemu... cielę rozedrze ci chustkę!... Jakiej rady żądasz pan ode mnie?

— Wiadomo pani — rozpoczął pan Władysław uroczyście — jak wielce pannę Adelę czczę i poważam... jak wielce pragnę, aby...

— Jaka piękna ta czerwona cieliczka, nie prawda panie Władysławie? Ma białe okulary!

— Jak wielce pragnę, abym widział... abym patrzał...

— Przez takie same okulary, nieprawdaż?... Nastusiu, uważaj, aby się nie potłukła ta dziatwa... Cóż dalej, panie Władysławie?

— Myślałem... marzyłem, że kiedyś będę mógł pannie Adeli ofiarować...

— Nie uważasz Nastusiu, pisanka może złamać sobie nóżkę... Mów pan dalej!

W tej chwili jakiś młody malkontent, który soli nie dostał, trącił dosyć nieparlamentarnie pana Władysława. Odparłszy atak niespodziany mówił dalej:

— Myślałem, że będę mógł pannie Adeli ofiarować serce moje, i w zamian otrzymać wzajemność... a tymczasem...

— Widzisz Nastusiu, stoisz tam, a tymczasm pisankę bodzie krasulka!... Dalej panie Władysławie... tymczasem...

— Tymczasem dowiaduję się o rzeczach, które w niwecz całą moją nadzieję obrócić mogą!

— Wszak pan Adolf się żeni!

— Gorsze od pana Adolfa nieszczęście zagraża mi.

— Jakież nieszczęście?

— Panna Adela wybiera się do Włoch i... na morze!

— Do Włoch i na morze! — zawołała ciocia, dając zbliżającym się cielętom obie rączki. — Do Włoch! Proszę nie wiedziałam o tem. Musi to być projekt najnowszy!

Władysław zamyślił się na chwilę. Projekt pojechania do Włoch zdawał się być w związku z otrzymaną dopiero wiadomością o Adolfie. Zabolało go to.

— Podróż do Włoch — mówił po chwili—tem więcej mnie zadziwia, że pani o niej nic nie wiesz. Była ona zapewne spowodowana jakim nowym, nagłym wypadkiem.

Ciocia pochyliła się do swojej ulubionej z białą gwiazdką na czole.

— Żaden wypadek nie zaszedł, upewniam pana. Adela nieraz mówiła o tem, ale nie brałam tego na seryo. Widać, że się teraz namyśliła i chce zamiar swój wykonać.

— Pani mówisz o tem tak spokojnie...

— Mój niepokój na nic się nie przyda. Adela jest pełnoletnią i własny ma majątek. Jesteśmy wprawdzie jej ciotkami, ale wpływać na nią nie możemy. Prędzej jeszcze posłucha mojej siostry, a ona, jak pan wiesz, we wszystkiem różni się ode mnie, nasze wychowanie dzieli nas, jakbyśmy nie były rodzeństwem. Ja w ubogim domku przywykłam do pracy, ona wychowywała się u bogatych krewnych, i żyje tem, czem zazwyczaj żyją ludzie przy wielkich dostatkach.

— Czy panna Adela zna stan swego majątku?

— O tyle, o ile interesuje to młodą kobietę.

— Podróż taka kosztuje wiele...

— Pod tym względem nikt jej nie przekona. Wszystko niczem, aby tylko dogodzić swojej fantazyi!... Ręczę jednak panu, kto raz tę fantazyę okiełzna, będzie dla niego najpotulniejszą... Niech pan uważa, bo krasulka bodzie!...

Wielkiego niebezpieczeństwa uszedł biedny bohater. Młode różki krasulki w braku twardszego przedmiotu, zaplątały się w jedwabną podszewkę surduta i dobrze ją poturbowały.

— Zdaje się, że daleko jeszcze ode mnie jest fantazya panny Adeli! — smutno ozwał się Władysław, obdzierając wiszące kawałki podszewki.

— Rozdarła panu...

— Nie powiem, żeby już w tej chwili serce moje było rozdarte, ale czuję, że mógłbym pannę Adelę kochać jak może żadnej innej kobiety kochać nie będę!

— Brzydka cielica! Nastusiu, odpędź ją, bo pana Władysława przewróci... Mów pan dalej, a za krasulkę przepraszam!

— Projekt panny Adeli krzyżuje moje zamiary. Podejrzywam ją, że w tym projekcie kryje się coś więcej, niżeli ochota widzenia morza i miast pięknych!

— Cóżby to mogło być?

— Włochy i wogóle zagranica jest zazwyczaj eldoradem dla fantazyi młodych dziewic naszych. Tam można poznać jeżeli nie księcia, to przynajmniej markiza albo hrabiego! Można się zakochać i być ukochaną, a w takim razie wrócić do kraju z tytułem, jakiego trzy powiaty mogą zazdrościć!...

— Co też pan mówisz! Adela miałaby wyjeżdżać jakby na targ jaki?

— Do tego się nie przyznaje zazwyczaj, ale tak jest w istocie!

— Byłoby to bardzo brzydko, a takiej panny żaden porządny mężczyzna żałować nie może! Zdaje mi się jednak, że co do Adeli, pan się mylisz. Ma ona wprawdzie za wiele fantazyi, ale przytem posiada poczciwe serce. Włochy, to dla niej nieokreślona jeszcze kraina marzeń, ale żeby tam na jaki świetny maryaż spekulowała, w to nie wierzę. Wyrządzasz pan jej krzywdę!

— Uchowaj Boże! Wyrządzając krzywdę pannie Adeli skrzywdziłbym najwięcej sam siebie.

W tej chwili czerwona cieliczka zbliżyła się do pani Klodyldy i kształtną swą główkę podniosła ku jej twarzy.

— Patrz pan, podobały się jej moje kolczyki brylantowe! Biedna, myśli że dostanie te błyszczące świecidełka... Niesłusznie sądzisz pan o Adeli...

— Panna Adela może wcale nie ma takich zamiarów, o jakich mówiłem, ale z drugiej strony, mogą zajść wypadki, które moją obawę usprawiedliwiają a nadzieję moją zupełnie zniweczyć mogą.

— To co innego, wypadki bywają, ale ja nie sądzę, aby Adela była tak łatwowierną, aby obaczywszy pierwszego lepszego mężczyznę, którego bliżej poznać nie może, już się w nim zaraz zakochała.

Rozmowę tę dla bohatera tak ważną przerwało teraz powszechne nieukontentowanie młodego przychowku. Topka soli stopniała już w ręku Nastusi, a znaleźli się malkontenci, którzy utrzymywali uporczywie, że nic nie dostali. Sprawiło to niemałe zamieszanie między całą gromadką, a co więcej, groziło otwartą rewolucyą. Ciocia jako przedstawicielka najwyższej władzy, uznała za stosowne cofnąć się z powagą z publicznej areny. Chciał tego samego dokonać i zacny bohater, ale to mu się nie udało. W poważnym nastroju, w jakim się właśnie znajdował, nie mógł tak szparko przebiegnąć obszernego dziedzińca, jak to właśnie w tej chwili uczyniła ciocia. Niemałe też poniósł uszkodzenia ciała i odzieży, bo ścigająca go rzesza była nieubłaganą. A gdy w końcu uznał konieczność większego pośpiechu i dosyć śmiałym skokiem dostał się na ganek, ujrzał tam śmiejącą się Adelę, która właśnie na pomoc wybiegła.

— Widzisz pan — zawołała wśród śmiechu — co to znaczy wchodzić z prozą w kompromis! Na morzu inaczejbyś pan wyglądał!

Władysław wyglądał teraz niebardzo korzystnie. Poturbowana odzież jego była w zgodzie z twarzą zmartwioną. Do tego przyczynił się śmiech powszechny wszystkich domowników. Rozmowa z ciocią nietylko nie przyniosła mu żadnego rezultatu, ale nawet wzbudziła w jego duszy nowe powątpiewania. A gdy do tego ujrzał białe ząbki Adeli która z taką rozkoszą śmiała się z jego nieszczęścia, biedny bohater zupełnie zwątpił o sobie!

— Może mi pan opowiesz tę całą awanturę, co tu się stało? — zapytała po chwili Adela.

— Na morzu! — odpowiedział zgryźliwie Władysław i poszedł do salonu po kapelusz, aby się pożegnać.

Towarzystwo rozmawiało jeszcze czas niejaki o zaszłej rewolucyi młodego przychowku, ale Władysław niewielki w tej rozmowie brał udział. Patrzał na Adelę tem samem okiem, jakiem przed chwilą na brylantowe kolczyki panny Klotyldy patrzała jej wychowanka. Adela była teraz piękną, bardzo piękną. Jej oczy pociemniały jak szafir, rozkoszne usta oblokły się purpurą a owe urocze dołki tyle miały dzisiaj uroku jak nigdy! Władysławowi zdawało się, że już ją widzi na morskiej fali, widzi ją na małej łódce, która oddalając się od niego, maleje jeszcze coraz więcej i w końcu zniknie!...

Westchnął i podał pani Izabelli rękę do pożegnania, a gdy z kolei do rączki panny Adeli się dostał, zrobiło mu się tak smutno, jakby topielca pochwycił a na brzeg nie mógł go wyciągnąć!

— Więc na morzu... do zobaczenia! — mówiła wśród śmiechu Adela — nieprawdaż? na morzu, gdzie nie będzie ani cieląt...

— Tylko same bałwany! — uzupełnił Władysław i nisko się skłonił.

(D. c. n.)

HISTORYA SONETU.

Wśród wiosennych zachwytów w duszy się narodził,
I pierwszą myśl młodzieńczą rozgrzał słońca żarem,
Woń kwiatów go spoiła złotych snów nektarem,
A słowik nad kolebką pieśni mu zawodził.

Uleciał między ludzi z uśmiechem swobody,
Taki rozpromieniony, ah! i taki młody!
Niebaczny! uniósł z sobą w nieznane obszary,
Za mało doświadczenia, a zanadto wiary!

Myślał, że światu nową pochodnię zapali,
Zwycięztwem zwieńczy cnotę, wśród zmysłów roko-
By ludzie po dawnemu wierzyli, kochali; [szu;

I błąkał się dość długo po życiowej fali,
Jak apostoł idei, o żebranym groszu:
Wreszcie spoczął strudzony—w redakcyjnym koszu!

Emilia.

Radoszewice.

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Po tem wspomnieniu o poczciwym przyjacielu, śpieszę dokończyć wspomnień z czasów wychowania przedszkolnego.

Już w pierwszym rozdziale (Fiedora) lekko naszkicowałem wpływy pierwszych lat dzieciństwa, tak że mogę powiedzieć iż wraz z rodzeństwem od kolebki niemal żywiliśmy się odgłosami poezyi narodowej i dawnych tradycyi.

Litwa była wtedy dziwnie poetyczna, dziwnie poezyą przesiąkła i w poezyi zakochana. Co więcej, w domach i dworkach szlacheckich panowało ogólne, prawie namiętne zaciekawienie do płodów piśmiennictwa ojczystego. Pożyczano sobie nawzajem książek, uważając to za większą łaskę niż pożyczkę pieniędzy, czytano je chciwie po cichu i głośno w kółku familijnem, robiono wyciągi i wypisy. Zjawienie się nowej książki stanowiło wypadek wielkiej wagi, o którym prędko dowiadywała się cała Litwa; zamożniejsi wnet nabywali wszystkie nowości: a potem udzielali ich do przeczytania sąsiadom. Tak rozchodziły się nieliczne wówczas nowości, tłomaczenia powieści Dumasa i Eugeniusza Sue, powieści Kraszewskiego i Korzeniowskiego, podróże Tryplina i Rautenstrauchowej, poezye Syrokomli. Czytywano też utwory dawniejsze jak Pojatę Bernatowicza, tłomaczenia Walter Skotta, Rynaldo Rynaldiniego, Malwinę czyli domyślność serca (której dwoje z mego rodzeństwa zawdzięcza swe imiona), tłomaczenia powieści Bronikowskiego, „Rodina czyli ducha na drodze pokuty" (oryginalnie podobno napisane po polsku uzupełnienie Żyda tułacza) i wogóle wszystko, co literatura polska przedstawiała lepszego. Co do prac poważniejszych — dzieł historycznych i innych, znane nam były od dzieciństwa i bywały w domu naszym wszystkie używane wtedy podręczniki: Pielgrzym w Dobromilu, Zagroda domowa i Historya Wagi do nauki dziejów polskich, Zdanowicz do historyi powszechnej, Kopczyńskiego i Sierocińskiego gramatyka polska, prace Rogalskiego i Dziekońskiego i t. d. Wszyscy, kto tylko mógł, kupowali książki, pomimo że były bardzo drogie; księgarnia Zawadzkiego w Wilnie robiła świetne interesa, a do Mińska na kontrakty zjeżdżali nadto Glücksberg i Orgelbrand. Na prowincyi księgarni nie było; tylko do Nieświeża na jarmark zjeżdżali księgarze mińscy, a w Słucku berło handlu księgarskiego spoczywało w ręku czerwonowłosego izraelity, bardzo zamiłowanego w swym zawodzie.

Prawda, że książek było wtedy niewiele, ale te, które były, powszechnie i chciwie czytano. Pism peryodycznych nie było prawie żadnych, oprócz Kuryera Wileńskiego, w którym treści było niewiele. Czasem tylko zabłąkał się dawniejszy „Magazyn Powszechny" lub „Muzeum Domowe" — oba ilustrowane.

Właściwie dziecinnych książek było mało, dostawały się nam wprawdzie do rąk, oprócz obrazkowych elementarzy, Odkrycie Ameryki przez Kolumba, Wyprawy Korteza i Pizarra, Zwierzęta słynne w historyi, Ciekawe zjawiska przyrody i t. p. ale bardzo rzadko jakaś fantastyczna powiastka. Były też w każdym domu rozmaite „Kabały" i „Morfeusz wyjawiacz snów" czyli Sennik, ale tylko do zabawy, gdyż nawet my, dzieci, śmieliśmy się z przepowiedni i uzupełniali abecadłowe wykazy Sennika własnemi konceptami.

Zdarzały się jednak pomiędzy szlachtą zaściankową płci obojga osoby, które wierzyły w tłomaczenia snów albo może tylko udawały że wierzą w skutek bezmyślnego nałogu i natychmiast wstawwszy z łóżka, wołały na dzieci lub wnuków: „podajcie mi Sennik, zobaczę, co znaczy to co mi się dziś śniło." Niepotrzeba dodawać, że zwolennikami Senników byli ludzie starzy, głównie zaś stare babki.

Natomiast dzieciom pozwalano słuchać czytania i czytać to wszystko, co dorośli czytali. Co do mnie, pamiętam dobrze, iż pochłaniałem wszystko, co tylko drukowanego znalazło się w domu: poczynając od Kalendarza, książki kucharskiej i książki do nabożeństwa. Wszystkie powieści i romanse również czytałem, a utwory poetyczne umiałem po większej części na pamięć lub miałem je wypisane w swoich kajetah p. n. „Wiersze Różne". Zacząwszy czytać książki w 6-ym roku życia i to czytać wszystko, oczywiście wiele rzeczy nie rozumiałem zupełnie i te niejako prześliznęły się powierzchownie przez mój umysł dziecinny, ale też dużo skorzystałem i samem czytaniem nauczyłem się wiele rozumieć. Wiem że taka nieograniczona swoboda czytania bywa potępianą przez pedagogów; ale, o ile wnosić mogę z własnego doświadczenia, nie wywiera ona zbyt szkodliwych skutków, oprócz chyba chorób z przedwczesnego natężenia mózgu, jak ta, której z „przeczytania się" w 9 roku życia uległem. Nie wiem, jak tam rzecz ma się względem dziewcząt ale chłopcy, do pewnego wieku, zupełnie obojętnie pomijają rozmaite sceny miłosne w powieściach, a magiczne słówko „kochać" jest dla nich prawie czczym wyrazem. Nie zdaje mi się więc, aby przedwczesne czytanie powieści rozwijało romansową egzaltacyą u chłopców, chociaż tu pewno zależy wiele od temperamentu i otaczających przykładów. Pamiętam, że mając lat 7, a naczytawszy się jakiejś powieści, wystosowałem list do sąsiada, pana O., z oświadczeniem o rękę jego córki, sześcioletniej Julki, który podobno nigdy jeszcze przedtem nie widziałem; było w tym liście i „kochanie" i frazes: „rzucę się ach rzucę się do nóg pańskich", ale było to wszystko jakoś na zimno i żartobliwe, rodzaj wypracowania na temat, zaczerpnięty z niedawno przeczytanej książki. Liścik ten porwali mi bracia; co też było śmiechu, zwłaszcza z owego „rzucania się do nóg": ośmieszono mi listy miłosne na zawsze, bo i w późniejszem życiu nigdy już, nawet na seryo żadnego takiego listu nie pisałem. Romansowości żadnej, aż do lat 17, nie okazywałem i nawet później daleko więcej unikałem kobiet, niż ich szukałem, raczej pragnąc podziwiać to, co piękne, zdaleka...

Nieograniczona owa swoboda czytania może być nadto wytłomaczoną, jako potrzeba niedostatecznością ówczesnego nauczania domowego, a niemniej zbytkiem czasu. Nie myślę wprawdzie podawać się za geniusz, ale wszelka nauka i mnie i reszcie rodzeństwa przychodziła tak łatwo, że po odbyciu wymaganych od naszego wieku i rutyną określonych nauk, pozostawało nam tyle czasu wolnego, że nawet nauczywszy się zadawanych nadetatowo „rozmówek" francuzkich z gramatyki Meidingera (w swoim czasie sławnej i wcale dobrej), niepodobna było reszty czasu obracać na same zabawy, tem bardziej, że najrozmaitsze igraszki nie mogły nas długo zajmować i prędko nudziły. Byliśmy bowiem, mniej więcej, wszyscy usposobienia poważnego i od najwcześniejszego dzieciństwa rozumieliśmy, że człowiek powinien pracować, a bawić się tylko w chwilach odpoczynku. W wolnych więc godzinach czytaliśmy, co nam w ręce wpadło i tym sposobem, wyprzedzając rutynę naszego wychowania, zabiegaliśmy naprzód i nabywaliśmy coraz to więcej wiadomości. Zapamiętałe to czytanie przyniosło mi jeszcze jedną ważną korzyść: umiejętność wysłowienia się w języku ojczystym i, co może wydać się na pozór dziwniejszem, znajomość pisowni.

Nie ucząc się jeszcze prawideł ortografii, a nawet i wogóle gramatyki, już w 9 roku życia umiałem pisać prawie bez błędów; zastanawiając się nad tem, przypisuję to namiętnemu czytaniu książek w dzieciństwie: w potężnej pamięci dziecinnej utkwiły nietylko całe zwroty i wyrażenia, nietylko piękniejsze okresy i zdania, ale także i pisownia pojedyńczych wyrazów, tem łatwiej że to ostatnie odkrywało się niejednokrotnie, przy nieumiarkowanem czytaniu mnóstwa książek. Potem, gdy wypadało pisać, pamięć natychmiast rozstrzygała wątpliwości ortograficzne powagą wspomnień, przechowanych z lektury.

Czytanie głośne w kółku rodzinnem odbywało się wieczorami jesiennemi i zimowemi. Ważną to było dla nas szkołą trudnej (dziś prawie zaginionej) sztuki głośnego czytania; o ile bowiem zapamiętam, obowiązki lektora musiało pełnić jedno z nas; uroczystą też była dla każdego z nas chwila pierwszego wystąpienia w tej roli, skoro już wiek i biegłość w czytaniu dawały do tego prawo. Zwykle zmienialiśmy się kolejno co roku, bo i wiek nas wszystkich przedstawiał różnice o rok tylko lub mało co więcej.

Wzmiankowany wyżej zapał do książek i wogóle do nauki stanowił stałą atmosferę naszego domu. W późniejszym wieku nieraz bywałem w domach, gdzie dziatwa uczyła się w kącie, a nikt ze starszych nietylko nie wiedział, czego i jak się uczą dzieci (sądząc, że od tego są guwerner lub szkoła), ale nawet w ciągu dnia całego nie słychać było żadnej wzmianki o jakiej kwestyi naukowej lub o jakiejbądź książce. Otóż za czasów mego dzieciństwa było inaczej, a mianowicie na Litwie, i to nietylko w domu naszym, ale i w wielu innych. Przedewszystkiem więc nauczanie pierwotne odbywało się z osobistym udziałem i przy ścisłej kontroli ze strony rodziców, a odbywało się najpierwej w języku rodzinnym, w sposób dla dzieci najzrozumialszy; potem zaś, jeżeli dzieci przygotowywano do szkół publicznych, łatwo było zabarwić te nabyte wiadomości, kolorytem urzędowym, uzupełnić je wymaganym przez rutynę szkolną dodatkiem. Dużo ucząc się i ucząc i patrząc na uczących się, przekonałem się później, że istotnie daleko łatwiej nabyte w języku ojczystym wiadomości przetłomaczyć, dla zadośćuczynienia chwilowej potrzebie, na inny język, niż odwrotnie—podejmować ciężką i mozolną pracę przekładania

nabytych w obcym języku wiadomości na język własny ojczysty.

Nadto nauka nie była dla nas nigdy pańszczyzną, po której przymusowem odrobieniu książki szłyby w kąt i nic było więcej o nich wzmianki, jak to zdarza się teraz: my lubiliśmy popisywać się nabytemi wiadomościami, a starsi wtrącali się także do rozmów o tem, czegośmy się nauczali, dając ze swej strony uzupełnienia i objaśnieśnienia, a częstokroć i dostępnych dla naszych umysłów oceny i uwagi krytyczne. Tą drogą ustalały się na trwałych podstawach w umysłach naszych wszelkie wiadomości, nawet z nauk pamięciowych, przeważnie mechanicznie nabywanych, a raczej tą drogą dyskusyi, objaśnień i rozumowań ograniczano rolę mechanicznej pamięci i ubarwiano wiadomości najbardziej suche.

Tym sposobem to wszystko, czego uczyła się dziatwa, to wszystko, co umieli starsi i to wszystko, co w domu i dzieci i starsi czytywali, składało jedną całość — niejako atmosferę, stale w kółku domowem krążącą, z której wszyscy, stosownie do wieku, pojęć i zdolności, mogli swobodnie czerpać.

(*D. c. n.*)

KONIK POLNY U MRÓWEK.

Komedya w jednym akcie,

przez

ERNESTA LEGOUVÉ i EU. LABICHE

członków akademii francuzkiej.

Przekład **Seweryny D.**

OSOBY:

Paweł de Vineuil.
Chameroy, przemysłowiec usunięty z handlu.
Pani Chameroy, jego żona.
Henryeta, ich córka.
Służący.

Rzecz dzieje się w Paryżu za dni naszych.

(Salon w domu państwa Chameroy, sprzęty niewytworne; na lewo biórko, na prawo kanapa.)

SCENA I.

Chameroy, Pani Chameroy.

Pani Chameroy (haftując na kanwie). Jak ty dziś wzruszony mężu, uspokój się, proszę cię...

Chameroy. Łatwo wam kobietom zachować pokój, macie wyborny sposób... igiełkę... Ale my biedni mężczyźni, kiedy nas coś porusza...

Pani Chameroy. Cóż cię tak niepokoi?

Chameroy. Co?... wszakże wydajemy zamąż córkę.

Pani Chameroy. Jeszcze jej przecie nie wydajemy... dziś dopiero mają się poznać bliżej...

Chameroy (przystępując do żony). Tak... ależ w jaki sposób odbędzie się poznanie? pomówmy o tem... na czemże stanęła umowa?

Pani Chameroy. Siadaj, opowiem ci...

Chameroy (siadając). No i cóż?

Pani Chameroy. Rzecz bardzo prosta. Hrabia de Verac wczoraj wieczorem, gdyśmy wychodzili z Opery, rzekł do krewnej swojej pani Forcy, że odwiedzi nas dziś o czwartej po południu.

Chameroy. Pod jakimże pozorem? bo trzeba koniecznie aby Henryeta nie domyślała się niczego...

Pani Chameroy. Spuść się w tem na mnie. Przybędzie pod pozorem że chce nająć mieszkanie w naszym domu, na bulwarze Haussman.

Chameroy. Wybornie! Doskonały przedmiot do rozmowy. Młodzieniec da poznać swój charakter, swoje nawyknienia, i Henryeta nie dowie się o niczem, bo niepowinna wiedzieć...

Pani Chameroy. Bądź spokojny!...

Chameroy. A więc pan Verac, rad z wczorajszego poznania w teatrze, Henryeta wpadła mu widać w oko, skoro ma dzisiaj przybyć?

Pani Chameroy. Zapewne...

Chameroy. Tak byłem pomieszany, że nic nie wiedziałem! Przybędzie więc o czwartej! Jak tu odzyskać pokój! Ha wiem co uczynię... jutro 15-ty, będę pisał kwity dla lokatorów. (Siada przy stoliku.) Lubię tę pracę... rozrywa mnie. (Pisząc.) Ja niżej podpisany, zaświadczam jak otrzymałem od pana...

Pani Chameroy. Powiedz mi... czy nająłeś lokal na drugiem piętrze?

Chameroy. Tak jest... nie przerywaj mi... (pisząc) od daty dzisiejszej, zastrzegam sobie wszelkie prawa. Dziwna rzecz jak mnie to uspokaja...

Pani Chameroy. Zrozumiéć tego nie mogę... bawić się pisaniem kwitów, od pierwszego słowa do ostatniego, skoro je sprzedają drukowane.

Chameroy. Wiem o tem... lecz to mi sprawia przyjemność. (Pisząc.) Trzy tysiące... mówią że pieniądz nie moralny!... Tak, zapewne, ten którego nam nie oddają... rozdrażnia nas, doprowadza do gniewu... lecz ten co go zgarniamy... (Pisząc.) Trzy tysiące dwieście... oprócz tego podatek od drzwi i okien. Doprawdy, gdy sumuję tę kwotkę, czuję się zaraz lepszym!

Pani Chameroy. Starczy ci na długo zajęcia, z twemi trzema domami.

Chameroy. Powiedz z naszemi domami, bośmy je uczciwie nabyli wspólną pracą, oszczędnością i dobrym rządem.

Pani Chameroy. Przypominam sobie jak w Saint-Quantin wszyscy ganili ojca mego, że wydaje córkę za prostego kupczyka bez majątku.

Chameroy (powstając). Ja miałem coś więcej niż majątek... miałem zdolność handlową. Twój ojciec zrozumiał mnie... Był to człowiek bez edukacyi, nie literat.

Pani Chameroy. Oh!...

Chameroy. Ale miał zdrowy rozum... Ogrodnik z Saint-Quentin, który zostawił córce piętnaście tysięcy franków dochodu, nie był doprawdy niedołęgą!...

Pani Chameroy. On bardzo ciebie kochał.

Chameroy. I ja czczę także jego pamięć. Otrzymawszy przy ślubie sześćdziesiąt tysięcy franków, przystąpiłem do współki z jednym z pierwszych przemysłowców w Roubais... wkrótce okazałem zdolność niepospolitą, mogę powiedzieć bez przechwałki, obstalunki szły bezustannie, aż stanąłem wreszcie na czele wielkiej rękodzielni...

Pani Chameroy. Biedny! ciężko też pracowałeś!

Chameroy. Tak jest, dniem i nocą, lecz tego nie żałuję, gdyż po dwudziestu trzech latach twardej pracy, mogłem się wycofać z interesów, zgarnąwszy trzy miliony franków!

Pani Chameroy. Cicho... cicho!...

Chameroy. A to czemu?

Pani Chameroy. Gdyby słudzy posłyszeli, toby nas wzięli za bogaczów, i darli bez litości.

Chameroy. Dobrze mówisz. Ale gdzież Alfons nasz chłopiec?

Pani Chameroy. W Sorbonie... Wszakże chodzi na kursa.

Chameroy Na kursa!... chłopiec ma lat dwadzieścia dwa—jużby mógł zarządzać fabryką. Chciałem zdać na niego moją firmę... marzyłem o tem...

Pani Chameroy. Co chcesz? nie wszyscy stworzeni do handlu. On chodzi na kursa z takiem zapałem! biedne dziecko!

Chameroy. To filar Sorbony — jak mówią.

Pani Chameroy. Co czynić... każdy ma swoje wady!

Chameroy. Prawda! Młodość musi wyszumiéć. Ale otóż i Henryeta.

SCENA II.

Ciż sami i Henryeta, (która zbliża się do ojca i całuje go.)

Chameroy. No! zkądże te pieszczoty?

Henryeta. Zapomniałam uścisnąć cię na dzień dobry, kochany ojcze — płacę mój dług.

Chameroy. Dobrze dziecię — rzetelność wielką jest zaletą.

Henryeta (do matki). Mamo, wszak pójdziemy na kurs o czwartej?

Chameroy (żywo). O czwartej!... niepodobna!...

Henryeta. A to czemu?

Pani Chameroy. Oczekujemy na wizytę.

Chameroy. Jednego z lokatorów!

Henryeta. A więc pójdę z panną służącą — pozwolisz mamo?

Chameroy (żywo). Niepodobna! Musisz pozostać z nami.

Henryeta (śmiejąc się). Ja mam układać kontrakt?

Pani Chameroy. Wcale nie... ojciec chciał powiedzieć, że lepiej abyś na mnie zaczekała... Wnijdzie tu do salonu o trzy kwandranse na czwartą... Włóż twój niebieski kapelusik.

Henryeta. Niebieski kapelusik? ten lokator—to zapewne pretendent?

Chameroy i Pani Chameroy (przerażeni). Pretendent!

Henryeta. Czy to ten młodzieniec, który wczoraj wprowadzony był do loży naszej?

Chameroy (gwałtownie). Do loży... młodzieniec... jakżeś ty to odgadła?

Henryeta. O! bez żadnej trudności! Wczoraj papa wchodzi i mówi do nas: wieczorem pójdziemy na Operę!... papa na Operę!... To mnie odrazu uderzyło. Patrzę co grają? *Proroka!*... Podejrzenia moje wzrastają... przybywamy... akt pierwszy... drugi po nim... papa nie usnął! moje domysły zamieniają się w pewność. W trzecim akcie papa marszczy brwi, ogląda się to na lewo, to na prawo, jakby oczekiwał na kogoś. Nagle widzę, twarz papy rozjaśniona uśmiecha się do loży sąsiedniej, trąca mnie łokciem w bok, myśli że trąca mamę!... w pięć minut potem wchodzi do loży naszej młodzieniec z panią de Torcy... Otóż papa zarumienił się, ociera czoło, rozprawia o Mayerbeerze! Ten pan zwraca się do mnie: „Jakież to arcydzieło Prorok! wszak prawda, pani!" Nakoniec mama w tej chwili mówi do mnie: „Włóż twój niebieski kapelusik! O doprawdy, rzecz jasna jak słońce!

Pani Chameroy. Nieodrodna z ciebie moja córka — co za spryt!

Chameroy. Przestrasza mnie!

Henryeta (śmieje się całując ojca). Drogi papo— daruj — ale powiem ci żeś niezręczny... Od roku ileż to ukazałeś mi pretendentów... a zawsze incognito... czternastu!

Chameroy. Tak... czternastu, zapisałem ich wszystkich w książeczce!

Henryeta. Każdego z nich odgadłam... wszak prawda?

Chameroy. Któż ci nasunął te myśli?

Henryeta. Ty sam, drogi papo!

Pani Chameroy. Nie dziwię się temu, on taki niezręczny...

Henryeta. I ty mamo!...

Chameroy. Dobrze!

Pani Chameroy. W czemże naprzykład? powiedz.

Henryeta. I papa i mama zarówno niezręczni, każdy w swoim rodzaju.

Chameroy. I jakiż to mój rodzaj? słucham.

Henryeta. Niezwykła czułość... ilekroć na widnokręgu zabłyśnie jaki zięć, papa przychodzi do mnie, ściska, pieści, powtarza kochane moje dziecię!

Chameroy. To prawda. A matka?

Pani Chameroy. A ja?

Henryeta. Mama naprzód myśli o stroju! „Włóż niebieski kapelusik moje dziecię!" a potem tajemnica! Wchodzi do salonu z listem, zbliża się do papy, mówi uroczyście: „mój drogi otrzymałam ważny list z Saint-Quantin"... Rzucę okiem, widzę pieczątkę paryzką... Wtedy udaję że nic nie wiem, otwieram książkę, a wy drodzy rodzice, dalejże coś szeptać i mamrotać pod oknem!

Chameroy. Straszna dziewczyna! wszystko widzi, wszystko wie, a nigdy nic nie mówi.

Henryeta. Dlatego właśnie że milczę, nic się nie ukryje przed mojem okiem. Wszystkie panienki takie .. któż temu winien? wy rodzice... nie mówicie nam nic; musimy też zgadywać! Wierzcie mi najdrożsi... na ten raz trzeba odmienić system... a przecież ta rzecz zarówno nas troje obchodzi... (Śmieje się) wszak to i mnie trochę dotycze... Wspólnie działać potrzeba!

Pani Chameroy. Dobrze mówi! (Siadają wszyscy troje na kanapie.) No! i cóż mi powierz o panu Verac?

Henryeta. To młodzieniec bardzo przyzwoity...

Chameroy. A więc gotowa jesteś zgodzić się...

Henryeta. Może być. . lecz ja myślę, że on się nie zgodzi.

Pani Chameroy. A to czemu?

Henryeta. Naprzód że jest hrabią, znakomitego rodu.

Chameroy. I nasz ród mieszczański piękną ma także przeszłość. Zresztą jedno tylko szlachectwo ma u mnie wagę! szlachectwo serca... mamy przytem sto pięćdziesiąt tysięcy dochodu.

Pani Chameroy. Cicho!... cicho!

Henryeta. Tak, ależ on to co innego. Wczoraj przy nim dziwnie jakoś byłam zmieszana... czułam że nasz świat całkiem inny.

Chameroy. Świat inny? jak to rozumiesz?

Pani Chameroy. Zobaczymy zresztą, skoro ma wkrótce przybyć.

Henryeta. A czy tylko przybędzie?

Pani Chameroy. Pani de Torcy, jego krewna a nasza sąsiadka ze wsi, zapewniła mnie o tem; dziś rano oznaczyć ma godzinę.

(*D. c. n.*)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

Miło nam bardzo ilekroć możemy ogłosić imiona ziomków naszych, których talent i nauka, a co więcej nad to znaczy, których szlachetne czyny znalazły chlubne uznanie na obczyźnie. Taka właśnie okoliczność zaszła dziś w południowej Francyi: mamy sobie za obowiązek uwiadomić o tem kraj nasz, za pośrednictwem organu pańskiego.

Kilka tygodni temu wielka trwoga padła na wieś Albon, należącą do kantonu Marcols, w departamencie Ardeche. Skutkiem tego, 26 stycznia, Dziennik w Walencyi ogłosił następną wiadomość:

„W tych dniach kilkanaście dziewcząt pracujących w dwóch osobnych rękodzielniach, uczuło nagle gwałtowne kurcze nerwowe: odtąd napady powtarzały się często, cechą ich były szalone kontorsye, niezrozumiałe słowa, gwałtowne krzyki, słowem napady miały wyraźny charakter obłąkania.

„Rodziny w rozpaczy; wszyscy drżą aby choroba nie rozeszła się na okolicę. Władze miejscowe przedsiewzięły zaradcze środki: przywołano lekarzy, zamknięto wieś, urządzono rodzaj kwarantanny."

Wiadomość tę powtórzoną przez paryzki dziennik *Ertafette*, wyczytał doktor Sabatowski zamieszkały w Paryżu. Właśnie przed kilku miesiącami, środkiem przez siebie odkrytym, wyleczył on kataleptyka; pragnął więc zastosować swoją metodę do chorych we wsi Albon. Bez chwili namysłu pisze do mera, żąda bliższych szczegółów, a odebrawszy odpowiedź, pośpiesza na miejsce własnym kosztem. Jaki był rezultat szlachetnego poświęcenia, niech poświadczy Dziennik Walencki z daty 18 lutego. Oto zamieszczone w nim słowa:

„Uporczywą tę i tajemniczą chorobę usunął i radykalnie pokonał Dr. Sabatowski, w ciągu 48-miu godzin. Użył on wiadomych sobie leków, które okazały się jak najskuteczniejsze, poczem odjechał unosząc z sobą wdzięczność całej ludności.

„Dzielny doktor uleczył 15 osób dotkniętych epidemią chorai-histeryczną, udzielającą się przez patrzenie na chorych."

Dziennik wyraża się z najżywszem uwielbieniem dla naszego lekarza, zowie go dobroczyńcą ludzkości, przypomina niemniej, że polski doktor, podczas klęsk Francyi, w dniu 4 września, zaciągnął się do służby w korpusie *franc-tirerów* paryzkich, że ranny w Chateaudun, otrzymał medal wojskowy, a po bitwie w Ables, przedstawiony był do krzyża legii honorowej.

Niemniej chlubne a tem ważniejsze iż urzędowe świadectwo, daje mer z Marcols, w liście drukowanym w dzienniku: *Le patriote d'Ardeche*, pod datą 16 lutego. Przytaczamy go tu w całości:

„Miło będzie czytelnikom dziennika dowiedzieć się że epidemia choreo-histeryczna, która grasowała w Albon, a którą wszystkie pisma się zajmowały, pokonaną została całkiem przez D-ra Sabatowskiego.

„Lekarz ten pisał z Paryża do mnie, żądając szczegółów o tem co się dzieje w Albon, i ofiarując przyjazd swój własnym kosztem, dla walczenia przeciw epidemii. Posłałem mu żądane objaśnienia i prosiłem aby przybył w interesie nauki do osób dotkniętych tą dziwną chorobą.

„Dr. Sabatowski przybył natychmiast na wezwanie w dniu 8 lutego do Albon, zkąd odjechał we dwa dni potem, udzieliwszy chorym środków, które przywróciły im zdrowie, nie żądając za to żadnego honoraryum, przeciwnie nawet udzielił wsparcia biednym z pomiędzy chorych.

Mer z Arcols. Salomon Colombier."

Mamy nakoniec przed oczyma późniejszy list tegoż mera, pisany do D-ra Sabatowskiego w dniu 22 lutego; oznajmia w nim, że skutek kuracyi okazał się trwałym i stanowczym. „Epidemia choreo-histeryczna w Albon, przeciw której pan tak szczęśliwie walczyłeś, pisze mer, znikła bez najmniejszego śladu. Dzięki inteligentnym i energicznym środkom, osoby dotknięte nią odzyskały zupełne zdrowie, i błogosławią imię twoje doktorze, wraz z mieszkańcami całej gminy, których jestem tłomaczem.

„Dołączam numer *Patriote d'Ardeche*, w którym zamieszczono artykuł o cudownych rezultatach pańskiej kuracyi. Tenże artykuł drukowany był w *Progrés*, jak niemniej posłany do dzienników paryzkich: *Estafette*, *Petit Jurnal* i *Figaro*."

Prassa paryzka żywo zajęła się tym przedmiotem. Między innemi czytaliśmy gorące odezwy w *Siècle*, *Echo de Franc.* Figaro tylko, jak wiadomo, nieprzychylny wszystkiemu co nosi polskie imię, zbył rzecz lekceważącem milczeniem.

Oprócz 15-tu chorych, powyżej wzmiankowanych, Dr. Sabatowski uleczył w Albon kobietę cierpiącą zwykłe epileptyczne napady, jak niemniej nałogowego pijaka cierpiącego *delirium tremens*.

Z dziennika *Progres d'Ardeche* dowiadujemy się, że dziesięciu okolicznych lekarzy, wezwanych do Albon przed przybyciem D-ra Sabatowskiego, uznało, że potrzeba lat kilku na pokonanie tak uporczywej choroby. „Przegląd Naukowy", cytował niedawno wieś w Frioulu, gdzie konwulsye tej natury zaczęły się objawiać w r. 1877; złagodzono je nieco odosobnieniem chorych. Od lat czterech jednak epidemia trwa ciągle i dotąd nie ustała.

Dr. Sabatowski zamierza napisać memoryał i oddać go pod uznanie paryzkiej akademii medycznej.

KILKA SŁÓW

O PIŚMIENNICTWIE CZESKIEM.

W pierwszem sprawozdaniu wspomnieliśmy już o znakomitym publicyście czeskim Karolu Tumy, którego studyum literackie o Beakonsfieldzie, zwróciło naszą uwagę. Teraz bliższe o nim powzięliśmy wiadomości. Karol Tuma należy do stronnictwa demokratycznego, ku któremu lgnie serce narodu czeskiego, gdyż jak powiada Spindler: „Siła Czechów opiera się na dolnych warstwach narodu, a zatem muszą oni sympatyzować mimo wszystkiego, ze wszystkiem co się odnosi do idei demokratycznej. Dlatego też Karol Borowski był ulubieńcem narodu, gdyż najsilniej i najgoręcej ze wszystkich publicystów czeskich przemawiał za samodzielnemi rządami drobnych państewek, bronił praw ludów przeciwko możnym, niższego duchowieństwa przeciw potężnej hierarchii, zdrowego rozumu przeciw przesądom i ciemnocie. Dlatego Rieger stał się tak popularnym iż głosił zasadę demokratyczną że wszelka moc w państwie od ludu pochodzi. Dlatego też Karol Sladkowski

którego Czesi przezwali „nasz drogi”, nazawsze w pamięci narodu pozostanie, bo przez całe życie zawsze i wszędzie walczył po stronie demokracyi. Organem tego stronnictwa były i są: „Narodni Listy” cieszące się największą popularnością, a głównym współpracownikiem tego pisma jest właśnie Karol Tuma tak że wszystkie najżywotniejsze artykuły z lat ostatnich, z pod jego wyszły pióra.

Niezadawalniając się sławą znakomitego publicysty, Karol Tuma odznacza się w studyach historycznych. Wstępując w ślady Lamartina, Micheleta, Renana, którzy dzięki swej fantazyi, obok głębokich poglądów filozoficznych, stworzyli z historyi powieść a zarazem księgę mądrości, umie i on także wlewać w swoje obrazy historyczne tyle życia i prawdy obok głębokich, własnych spostrzeżeń, że postacie które kreśli, stają przed czytelnikiem w całej swej sile i plastyczności. Z pierwszą pracą w tym rodzaju wystąpił w 1879 r. w „Matice lidu” pod tytułem: „Apostoł swobody” (Manein). Przyjętą ona została z jednogłośnem uznaniem, a wkrótce lud cały czytał z zapałem tę ewangelię jak nazywał swobód i to wyznanie wiary. Dla samego Tumy było to wywieszeniem sztandaru demokratycznego. Później szybko po sobie następowały prace w tymże samym rodzaju: Leon Gambeta, Manin, Cawour, Gladston, Jerzy Waschington i inne, drukowane po rozmaitych pismach. Z tych ośm najlepszych historycznych obrazów, tworzą książkę pod tytułem: „Dziejowe charaktery”. Obok zalet bystrego spostrzegacza i myśliciela, łączy obrazowość, styl płynny, szlachetny a pełen zapału.”

Tem łatwiej przychodzi nam wierzyć tej ocenie, że w tychże samych „Kwietach” spotykamy się ze świeżą pracą Tumy o Gardfieldzie: „Aforyzmy z przerwanego życia”. Poczynając rzecz od pierwszych lat dzieciństwa byłego prezydenta, postępuje za nim autor krok w krok po tej ciężkiej, znojnej drodze, która go miała do najwyższej godności w kraju doprowadzić. Te ciężkie trudy, cierpienia, tę pracę niezmordowaną, wytrwałość, krótko trwałe radości, a później ta skromność i prostota w powodzeniu, wszystko to jest opowiedziane z lekkością i z wdziękiem niewymownym, ale też nie pominięty żaden rys charakteru, który by tę niepospolitą postać we właściwem świetle przedstawił.

Z działu historycznego mamy jeszcze obrazek pod tytułem „Na Stitnem” Benesza Trzebizskiego, znanego już z popularyzowania historyi w powieściach przeznaczonych po większej części do wydawnictwa „Taniej Biblioteki”. Główną tu postacią jest Tomasz ze Szczytnego, sławny rycerz-filozof czeski z XV wieku. Obok zalet stylu, jasności myśli, szlachetnej tendencyi, zachowaną jest także prawda historyczna.

Dla badaczy języków słowiańskich, nadzwyczaj ważną jest wiadomość o mającem ukazać się nowem dziele d-ra Leopolda Geitlera uczonego czeskiego, który zwiedziwszy przed rokiem Egipt, udał się do klasztoru na górze Synai i wyrobił sobie pozwolenie przejrzenia tamtejszej biblioteki nadzwyczaj bogatej, gdyż zawiera kilkaset rękopismów greckich, koptyjskich i syryjskich, a najstarsze rękopisma ukryte są od tysiąca lat w niedostępnych kryjówkach, tak że o nich sami zakonnicy dziś żyjący nic nie wiedzą. Pierwszy dotarł tam w swoim czasie, profesor rosyjski Tischendorf i za pomocą bogatych darów udało mu się zdobyć kilka rękopismów i zabrać je z sobą do Petersburga. Ale czeski uczony był jeszcze szczęśliwszy, odkrył bowiem dwie nadewszystko cenne pamiątki: dwa starosłowiańskie głagolickie rękopisma. Jest to niezawodnie najdawniejszy zabytek pisma słowiańskiego.

Z działu umiejętności i sztuki wyszło dziełko „O budownictwie” oraz pierwszy zeszyt „Popularnej prawnej biblioteki”. Taka biblioteka ma na celu obznajmianie szerszego koła publiczności ze wszystkiemi obowiązującemi prawami i jakie jest ich znaczenie. Nie potrzeba zdaje mi się mówić o ile pożytecznem jest to wydawnictwo.

Z wielkiemi pochwałami odzywa się krytyka o dwóch biografiach zasłużonych mężów: Bernarda Bolzano i Stanka Wraza. Pierwsza skreślona jest piórem kobiecem pani Maryi Czerwinkowej, na pamiątkę stuletniego jubileuszu tego wielkiego męża.

Czesi szczycą się Bern. Bolzano, który czynność swoją jako humanista, pedagog i filozof rozwinął w epoce najniewdzięczniejszej i najsmutniejszej, wtenczas gdy na szarem tle niebios zaczynała dopiero świtać jutrzenka odrodzenia. On to pierwszy rozbudzał myśl narodu, wlewał w serca młodzieży pragnienie jaśniejszej przyszłości, miłość dla idei narodowej i uczył ją szukać piękna i dobra w tem co jest swoje. „Bolzano — powiada autorka — jest jednym z tych apostołów ludzkości, ukazujących się w danych epokach i wygłaszających zasady pod sztandar których ludzie się garną; są oni jak słupy wskazujące na drodze postępu.” Stuletnią rocznicę urodzin zasłużonego męża 16 października 1881 r. obchodziło Akademickie towarzystwo wspaniałą uroczystością, której godnym przyczynkiem jest owa biografia bogata w materyały, trafne spostrzeżenia, oraz odznaczająca się doskonałą charakterystyką Bolzana i jego epoki.

(D. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Nora”. Dramat we 3-ch aktach *Ibsena.*

Do świetniejszych ról, jakie p. Modrzejewska odtworzyła w szeregu swoich występów, można niezawodnie zaliczyć „Norę”.

Dramat znakomitego normandzkiego poety wyróżnia się wiele od całego szeregu utworów, które ze znakomitą artystką wprowadzone zostały na scenę naszego teatru.

„Adrianna Lecouvrer”, „Fru-Fru”, „Dama kameliowa”, „Cudzoziemka” a nawet „Honor domu” i mnóstwo innych, są to sztuki gdzie autorzy dla efektu i dla silniejszego wrażenia przeprowadzają różne pozy konających lub obłąkanych, aby dać szersze pole artystce do popisu. Takie kreacye zaprawdę nie są warte gry i artyzmu Modrzejewskiej która tylokrotnie usiłowała nadać każdej z tych bahaterek barwność i choć jaką taką charakterystyczną odrębność — aby je podnieść i uszlachetnić!

Jakże inną od takich postaci francuzkich, lepianek i sklejań, od tych upadłych kobiet jest Nora...

Któż to jest Nora? Oto młoda, żywa kobieta, żona Torwalda, adwokata, który zostaje mianowany dyrektorem banku. Norę cieszy to niezmiernie, bo będzie się mogła stroić i bawić, przy swoim ukochanym Torwaldzie, ona kocha go, żyje dla niego, i sama gotowa się poświęcić byleby mu dobrze było. Wtem przybywa ze wsi jej przyjaciółka i dawna znajoma Krystyna i ze zdziwieniem, przypatruje się tej młodej pięknej Norze, która nic a nic się nie zmieniła i zawsze świeża, zawsze wesoła. Jedno tylko Norę martwi: oto zaciągnęła dług 10,000 franków, który w $^1/_3$ części pozostał jeszcze do spłacenia! Z tem też zwierza się swojej przyjaciółce Krystynie i opowiada jej przyczynę tego długu.

Torwaldowi zagrażało jakieś niebezpieczeństwo, pożyczyła więc pieniędzy i uratowała mu życie. On o tem nic nie wie, a ona tłomacząc po nocach powieści, spłaca ten dług powoli i jeszcze parę miesięcy, a będzie czystą i swobodną. Torwaldowi jednak nie ma zamiaru powiedzieć nic o zaciągniętym długu, gdyż dumnego, pełnego charakteru człowieka, mogłoby to umysłowo złamać... a Nora tego nie życzy sobie... on ją tak kocha...

Szczęście, dostatek w domu, nadzieja rychłej spłaty reszty długu i t. p. rozpromieniają piękną i szlachetną Norę, gdy wtem wchodzi Krogsthad, urzędnik tegoż banku, w którym Torwald został dyrektorem, z rewersem Nory w ręku, dopytując się kto podpisał rewers, czy jej ojciec, czy ona sfałszowała podpis ojca, który zmarł o cztery dni wcześniej jak rewers jest podpisany...

Nora nie zapiera się, a Krogsthad jako adwokat, zapowiada Norze, że jeżeli mąż jej wydali go z banku, gdzie on tak długo starał się o pozyskanie opinii, wtedy sfałszowany weksel odda w ręce sprawiedliwości. Nora wyjaśnia mu, że nie uczyniła tego w złej woli, że weksel w dwóch częściach spłacony i że go spłaci do reszty, a podpisała ojca jedynie dlatego, że nie mogła go prosić wtedy, bo leżał śmiertelnie chory. Krogsthad jednak tego nie uwzględnia i powiada jej otwarcie, że prawo zupełnie inaczej sądzi. Nora prosi męża o zatrzymanie Krogsthada, ale on stanowczo temu się opiera i wbrew jej woli, wręcza mu dymisyą. Krohsthad przychodzi z wymówkami do Nory, a zarazem wpuszcza list do skrzyneczki, od której tylko sam Torwald klucz posiada. List ten jest stanowczą groźbą dla Torwalda, którego wszelkiemi siłami stara się Nora wstrzymać od otworzenia skrzynki.

Przypada bal kostiumowy w sąsiedztwie, gdzie Nora ma tańczyć tarantelle, zmusza więc męża by zagrał na fortepianie. On gra... Nora tańczy... tańczy szalenie do upadłości, aż mdleje. Wychodzą na kolacyą... w nadziei że Krystyna załatwi całą sprawę z Krogsthadem, który ją kiedyś kochał.

W akcie trzecim Krogsthad został zjednanym, ale Krystyna nie pozwala wycofać mu listu ze skrzynki, pragnąc aby o wszystkiem dowiedział się od Nory Torwald.

Wracając więc z balu, gdzie ogromne wrażenie strojem i tańcem zrobiła Nora, mąż pieści ją, bawi, ściska, wreszcie wyjmuje listy ze skrzynki i wychodzi do swego pokoju.

Nora, która zabić się nie miała odwagi, postanawia opuścić dom męża nazawsze, ale wtem wybiega mąż i chwyta ją u drzwi. Scena najstraszniejsza! Mąż wyrzuca jej ten haniebny czyn, łaje, przeklina, Nora milczy, zimno i obojętnie słucha wymówek męża. Wtem dzwonią w przedpokoju, służąca wnosi drugi list i rewers Nory. Torwald zostaje ocalonym, rzuca się na kolana, przeprasza Norę, ale ta milczy... przestała go kochać... bo ten, który powinien był ją osłonić, winę przyjąć na siebie... ten tak niegodnie z nią postąpił. Nora postanowiła zatem opuścić dom, aby nauczyć się żyć i poznawać ludzi. Dotąd nie zna-

ła świata... dopiero po ośmiu latach, przekonała się, że Torwald jest samolub, egoista siebie tylko kochający.

Rozłączają się więc zwróciwszy sobie obrączki, Nora wychodzi nie żądając nic od Torwalda.

A Torwald? Torwald z całej rozmowy zapamiętał tylko jedno zdanie, które Nora jako nadzieję mu zostawiła i na zakończenie sztuki powiada: stanie się cud, ona powróci...

Jeżeli bliżej przyjrzymy się Norze, to po za tą krótką treścią odnajdziemy tam bardzo głęboką prawdę, którą tylko prawdziwy filozof i zdolny poeta mógł odtworzyć. Sztuka cała wre życiem, porywa uczuciem i przemawia gorąco do serca słuchaczów. Ludzie w niej to ludzie z duszą: działają, cierpią, upadają lub podnoszą się, a wszystko to tchnie taką naturalnością, taką prostotą i szczerością, że ani na chwilę nie możemy wątpić, iż pisał ją człowiek z sercem i rozumem. Wrażenie jakie wywiera na widzu, wypływa wprost z doskonale zestawionych kontrastów w charakterach i w namiętnościach; dźwięczy jakąś smutną nutą przejmuje i zadziwia...

Sama postać Nory to prawdziwe studium kobiety, która nieotrzymawszy prawdziwego wykształcenia, nie umie żyć w świecie ją otaczającym. Młoda, piękna i wesoła, jest zjawiskiem, które zachwyca wszystkich i pociąga urokiem, co wystarcza w zupełności dla jej męża egoisty. Nie zna pewnych społecznych praw, nie zna zupełnie ludzi, ale pomimo uśmiechu, jest moralnie wysoko postawiona. Błąd, który spełnia dla ocalenia rodziny, jest zupełnie popełniony z nieświadomości... ta pożyczka pieniędzy uszlachetnia ją i podnosi, chociaż staje się przyczyną do strasznego dramatu i odkrywa jej pogląd na świat cały... Tę na pozór nieznaczną kwestyą rzuca autor tylko dla wykazania o ile nasza kobieta nie będąc do życia przygotowana, bezwiednie zbłądzić może, i o ile ta bezwiedność naraża ją niejednokrotnie na utratę domowego szczęścia.

P. Modrzejewska pojęła wyśmienicie myśl autora i oblekła ją w szaty rzeczywistości.

Sceny, kiedy Nora zmuszoną była przechodzić z płaczu w śmiech i z doktorem znakomicie odtworzyła. Taka gra musiała okupić mniejsze błędy sztuki, musiała oczarować widza.

„Norę" Teatr Wielki może wpisać do najświetniejszych chwil swego powodzenia... a wszystkie „Damy kameliowe", „Cudzoziemki" i „Fru-fru" skazać na wieczne zapomnienie.

Gra artystów była wyśmienitą. Pan Ładnowski w roli Krogsthada, dowiódł że są rolę, które potrafi odtworzyć umiejętnie w najdrobniejszych ich szczegółach. P. Leszczyński także przedstawił dobry typ męża egoisty, kochającego tylko siebie samego, bodajby w drugiej osobie. Jest tam jeszcze jedna postać o której dotąd nie mówiliśmy; doktor przyjaciel Torwalda, który służył do dokładniejszego określenia charakteru Nory... z tej niewielkiej roli dał p. Rapacki bardzo prawdziwy obrazek głębiej obmyślany.

Niemniej dobrze wywiązała się i panna Marcello.

Tak przedstawiła się nowa sztuka, prawie nieznanego u nas jeszcze poety; znakomita gra artystów uzupełniła całość obrazów, a dla p. Modrzejewskiej stała się ostatnim kwiatkiem, który swym świeżym zapachem orzeźwił po nadpsutych kamiljach naszą publiczność.

To też podczas przedstawienia obrzucono ją bukietami, odarowano upominkami, słowem wszystko co tylko możebne zrobiono, aby wypłacić się i okazać prawdziwej artystce wdzięczność, za jej pracę...

„Nora" była ostatnim dramatem wystawionym na scenie podczas gościnnych występów p. Modrzejewskiej w Warszawie i Nora pożegnała nas zbierać laury na obczyźnie.

Wiktor Czajewski.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pan Scholtz Rogoziński przed opuszczeniem rodzinnej ziemi, miał w Kaliszu, miejscu swego urodzenia, odczyt o wyprawie afrykańskiej na dochód miejscowego Towarzystwa Dobroczynności. Z kalisza udał się do Neapolu, zkąd wyprawa odpłynie na statku żeglowym „Łucya Małgorzata" stojącym obecnie w Hawrze, zkąd przeprowadzić go ma do Neapolu p. Budziłowski, oficer marynarki. W końcu kwietnia wszyscy członkowie wyprawy odpłyną z zatoki Sorentskiej.

Żegluga z zatoki Gibraltarskiej do Kameruńskiej trwać będzie około czterdziestu dni; podróżnicy zatrzymają się tylko na Maderze i Liberyi, dla zabrania sześćdziesięciu murzynów plemienia Kru, mających stanowić eskortę wyprawy.

Przybywszy do zatoki Kameruńskiej, jeden oddział wyruszy na Kalobar, dla zbadania jego koryta. Po zbudowaniu stacyi jeograficznej, część wyprawy zostanie w miejscu, reszta zaś członków z p. Rogozińskim na czele, wyruszy i spotka się o 120 mil z pierwszym oddziałem w Pebocie, zkąd już dalej śmieli podróżnicy wyruszą razem w głąb nieznanego kraju, szukać tajemniczych jezior, a jeźli na nie natrafią, wtedy ekwatoryalna Afryka będzie miéć zapewnioną przyszłość, bo mając wodę a zatem i roślinność, przedstawi możliwe warunki zaludnienia i eksploatacyi. Szczęść Boże śmiałym podróżnikom!

*** „Nowosti" podają bardzo pożądaną wiadomość, że w Warszawie zamierzono założyć szkołę politechniczną, w której kształcić się mają technicy dla rozmaitego rodzaju fabryk i zakładów przemysłowych w Królestwie. Szkoła taka jest niezbędną przy coraz zwiększającym się ruchu przemysłowym; setki młodzieży znalazłyby zajęcie i sposób do życia, a nadto wyzwolilibyśmy się raz z przemocy niemieckich przybyszów.

*** W zeszłym miesiącu, na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ksiądz Chotkowski odczytał drugą część swej pracy p. t. „Pół wieku z dziejów Prus Książęcych". Pierwsza część doprowadzona jest do hołdu i przysięgi wierności, jaką Albrecht brandeburski złożył królowi Zygmuntowi na rynku krakowskim, otrzymawszy w zamian Prussy wschodnie jako księztwo dziedziczne; w drugiej części przedstawił szanowny prelegent życie i działalność Albrechta, jako pierwszego księcia Prus Książęcych. Były one jednem długiem pasmem zawodów i nieszczęść, a chwilowa radość w Prusach z objęcia rządów przez Albrechta, zamieniła się prędko w opór i ogólne niezadowolnienie. Wierna swej przysiędze część zakonu, opuściła Prusy po trzechwiekowym blizko pobycie, i pod przywództwem Eryka brunświckiego, udała się do posiadłości swoich w Królestwie Wirtemberskiem. Zakonnicy pozostali w kraju, zaparłszy się wiary i zdeptawszy śluby zakonne, ubiegali się o łaski dawnego mistrza a nowo powstałego księcia, pożenili się lub zatonęli w rozpuście. Sam Albrecht w r. 1526 zaślubił księżniczkę duńską, lecz związek ten nie dał mu szczęścia. Tak w publicznem jak domowem życiu coraz cięższe spadały na niego ciosy: dzieci umierały, szlachta i stany jawnie okazywały niezadowolnienie, słowem od wstąpienia na tron życie jego stało się jednym nieprzerwanym prawie ciągiem smutków, nieszczęść i niepowodzeń. W kraju wybuchła zaraza; panowie ciemiężą biednych, chłopstwo zaczęło się buntować; zamęt i kłótnie w kwestyach religijnych: wieści te ciągle dochodzące do ucha księcia renegata pozbawiają go snu i spokoju. Na domiar tego papież Klemens III i Pius IV potępiają postępowanie Albrechta, a cesar niemiecki przeciw sekularyzacyi dóbr zakonnych. Niepokoje i zatargi religijne coraz większe przybierają rozmiary: szlachta żąda nowych przywilei i ustępstw; intrygi i niesnaski na dworze coraz więcej się wzmagają, a najgłówniejszymi ich podżegaczami są pożenieni zakonnicy. Albrecht pozbawiony wszelkiej pomocy i rady, chwyta się ostatniego ratunku, a kładąc wybryki i niezadowolnienie poddanych na karb ciemnoty i braku oświaty, w roku 1541, za pozwoleniem króla polskiego, założył uniwersytet w Królewcu. Na profesorów sprowadził uczonych z różnych stron Niemiec; rektorem mianował poleconego mu przez Andrzeja Górkę, Schaltera czyli Sabinusa. Lecz im większego nabierała znaczenia królewiecka alma mater, tem groźniejszemi stawały się zatargi religijne; nie dość ustalone jeszcze pojęcia protestantyzmu, były kością niezgody między niemieckimi teologami. Zaczęły powstawać coraz nowe sekty religijne; nowochrzczeńcy wszelkiemi sposobami starają się rozszerzać swoją wiarę, i w tym celu przeszło 200 rodzin swoich sprowadzają do Prus Książęcych. Niezadowolnione stany z panowania ex-krzyżaka Albrechta, kilkakrotnie odwołują się do Polski o pomoc. Naprożno upomina go król Zygmunt i kardynał Hozyusz; nareszcie w r. 1566, król posyła do Królewca komissyą, mającą rozpoznać i załatwić spory zachodzące między księciem a stanami. Wykrywszy tajne sprężyny intryg doradzców księcia, komisya przyznała słuszność stanom, a winnych zausznikow: Horsta, Schnella i Funka skazała na śmierć. Znaczenie i powaga Albrechta upada coraz niżej. Otoczony zgrają niecnych doradzców, wyzyskiwany na każdym kroku, zniechęcony, zapomina o potrzebach kraju, popada w coraz większe długi, a dręczony wyrzutami sumienia, oddał się całkiem układaniu modlitw i rozmyślań oraz obmyślaniu nowych artykułów wiary. Na domiar nieszczęścia, syn jego, Albrecht Fryderyk, nazwany w historyi *der bloede Herr*, popadł w czarną melancholią, zatruwając tem ostatnie dni ojca. Znękany nieustannem niepowodzeniem, Albrecht codziennie więcej zbliża się do grobu i nakoniec pada ofiarą panującej zarazy, dnia 20 marca 1568 roku.

Takie było panowanie i życie pierwszego księcia w Prusach Książęcych, taki koniec zaprzańca i wiarołomcy.

*** Za radą p. Bolesława Nakwaskiego, właściciela wsi Nakwasin, w powiecie Płockim, wybrany został z pomiędzy czeladzi dworskiej sąd dobrowolny, złożony z trzech statecznych ludzi; ktokolwiek coś przewini, pogniewa się lub pokłóci, zdaje się na ów sąd, a wybrani sędziowie po głębokiej rozwadze i zbadaniu stron obu, wydają wyrok według swego sumienia. Jeżli któraś strona

nie chce zgodzić się na ów sąd polubowny, lub nie chce poddać się jego wyrokowi, sprawa zostaje przekazana sądowi gminnemu. Jednak, jak zapewnia „Gazeta Świąteczna” wypadki takie nader rzadko się zdarzają, gdyż każdy woli sprawę zakończyć na miejscu, bez kosztu i straty czasu.

Sąd dobrowolny w Nakwasinie przeznaczony jest głównie dla czeladzi dworskiej, ale nierzadko się zdarza iż włościanie z tejże wsi wytaczają tu swoje sprawy i poprzestają na wydanych wyrokach.

*** Paryzki legitymiczny dziennik „Clairon” podaje następującą anegdotkę w korrespondencyi z Berlina. Jeden ze znanych malarzy cieszący się szacunkiem i poparciem dworu berlińskiego, prosił aby mu pozwolono zrobić rysunek uroczystości orderowej, mający następnie posłużyć mu za szkic do wielkiego obrazu. Uczyniono zadość jego prośbie i artysta zajął podczas uroczystości dogodne miejsce, z którego mógł dobrze widzieć wszystkie jej szczegóły. Skończywszy rysunek, poczytywał sobie za obowiązek przedstawić go cesarzowi do uznania. Szkic przedstawiał tak zwaną salę kurfirstów. Na tronie siedział cesarz, z prawej jego strony stali książęta krwi, z lewej książęta nienależący do rodziny cesarskiej. Chcąc nadać grupie ruch malowniczy, artysta umieścił na jej czele księcia cesarskiego, trzymającego nogę na pierwszym stopniu tronu. Wkrótce rysunek został zwrócony artyście, ale wysunięta naprzód noga następcy została przekreślona ołówkiem, a z boku szkicu cesarz napisał własnoręcznie lakoniczną uwagę „Jeszcze nie”.

*** **Wyprawa powietrzna do bieguna.** Jak wiadomo, od dwóch lat zajmują się w Anglii projektem, podniesionym przez komodora Cheyne, urządzenia wyprawy do bieguna północnego za pomocą balonów. Projekt ten zrazu uważany za dziwaczny pomysł ekscentryczności angielskiej, coraz bliższy jest urzeczywistnienia i od pewnego już czasu stanowi przedmiot poważnych studyów. Potrzebne na ten cel fundusze są już prawie w całości zebrane a komodor Cheyne przy pomocy porucznika marynarki Stanów Zjednoczonych Szwatki, który niedawno powrócił z ekspedycyi polarnej, przez rząd amerykański wyprawionej dla odszukania śladów ekspedycyi Franklina, zajmuje się właśnie szczegółowem opracowaniem planów zamierzonego przedsięwzięcia, które co do śmiałości nie miało prawie równego sobie dotychczas. Według programu Cheyne'ga ekspedycya uda się przedewszystkiem do zatoki św. Patrycyusza, odległej od astronomicznego bieguna ziemi tylko o 496 mil angielskich. Tam założone będą trzy stacye spostrzegalne, zaopatrzone w rozmaite przyrządy, a mianowicie w maszyny do wytwarzania gazu i połączone z sobą liniami telegraficznemi. Po przestudyowaniu na stacyach kierunku panujących w owej okolicy ziemi prądów powietrznych i stosunków meteorologicznych wogólności, w czerwcu 1883 r. wyprawione będą przy stosownym wietrze trzy balony ku biegunowi północnemu. W łódkach każdego z tych balonów znajdować się będzie trzech podróżnych. Odległość 120 mil geograficznych może balon wprawdzie przebyć w ciągu jednej doby, mimo to każdy balon zaopatrzony będzie w żywność i wszelkie potrzeby dla podróżnych na 51 dni, a nadto będzie nader delikatnym drutem, odwijającym się z łatwością z walca, połączony ze stacyami wspomnionemi, ażeby podróżni z balonów nieustannie zawiadamiać mogli o swoim losie, swoich spostrzeżeniach i przygodach, uczonych, którzy na stacych pozostaną.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania spacerowe.

Ubranie spacerowe dla młodej panienki. Krótką spódnicę otacza wolant układany w kontrafałdy, tunika bardzo długa podpinana z boków ma u dołu gładkie obłożenie. Stanik z odcinanym fałdowanym karoczkiem z przodu przepięty paskiem. Berecik pluszowy obłożony piórkami; mufka z pluszu koronki i wstążki.

Ubranie z długim płaszczykiem. Długi płaszczyk uszyty jest z kosztownej adamaszkowej materyi; rękawy mają formę dolmanową. Przybranie stanowi szeroka sznelowa torsada i frendzla.

Ubranie z podwójną tuniką. Zwierzchnia prosta z boku w całej długości szeroko otwarta tunika z materyału wełnianego, odsłania drugą spodnią tunikę aksamitną zapiętą na guziki szmuklerskie. Krótki stanik spięty dwoma rzędami guzików ma wykładany kołnierz aksamitny. Kapelusz Rembrandt aksamitny z długiem strusiem piórem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Aleksandrze P. w Tyflisie. Prenumerata zapisaną została i numera początkowe natychmiast przesłano. Skarga na nierzetelność i doznany zawód zupełnie słuszna; zarywania podobne dawniej nigdy się nie przytrafiały.

Prenumeratorce. List odebraliśmy dnia 9 marca, w chwili gdy „Tygodnik” szedł na prasę, prędzej więc nie mogliśmy życzenia spełnić aż w przeszłym numerze. Zakład zatem wygrany został. O inne prace prosimy. Rękopism wysłany został; nie wszystko co jest rzeczywistością nadaje się do opowieści. Prawda powinna jej przewodniczyć ale ze szczyptą ideału podniesioną do artyzmu.

Pani A. F. w Czajkówce. Artykuł zostanie pomieszczony w „Tygodniku”: wierszyk w „Przyjacielu” będzie drukowany.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 10 Марта 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

Dochodził do domu. Domek pana Turner stał na lewo. Widać było w nim jakiś ruch niezwykły; biegano ze światłem na wszystkie strony. Uszedłszy kilka kroków dalej, wszedł małą furtką do ogrodu matki.

Jeźli w domku pana Turner było gwarno i jasno, to przeciwnie ciemność i milczenie zalegały jego dom rodzinny. Lampka nawet nie paliła się w sieni. Wtedy w umyśle jego zabłysła nagle myśl iż pewnie źle zrozumiał telegram, że należało udać się wprost do Foxwood. Zapukał do drzwi, mówiąc sobie:

— Niewątpliwie matka i Adam wyjechali, a służba się rozbiegła. Niech licho porwie takie niemądre telegramy!

Hewitt ze świecą w ręku otworzył mu drzwi; ujrzawszy twarz jego sino-zieloną, Karol cofnął się o krok z niewysłowionem przerażeniem—nigdy jeszcze w życiu nie widział twarzy napiętnowanej tak rozpaczliwą boleścią i trwogą.

— Co się stało? wyjąkał zaledwie.

Hewitt wierny i przywiązany sługa, od lat tylu pozostający w ich domu, ujrzawszy Karola podniósł ku niebu załamane dłonie; długo dość łzy nie dozwoliły mu przemówić. Pan jego, Sir Adam, strzelił do Marcina Scott.

Słysząc to, Karol zachwiał się na nogach, poczem wsparłszy się o drzwi, stał jak przykuty. Przez jakąś chwilę słowa wymówić nie był w stanie, ale przyszło mu na myśl że Hewitt zwaryował i plecie jakieś brednie wylęgłe w jego oszalałym mózgu.

Na nieszczęście była to prawda. Adam strzelił umyślnie do studenta medycyny Marcina Scott'a a Hewitt, nieszczęśliwy Hewitt był tego świadkiem.

— Czy.. umarł? wyjąkał Karol, a było to pierwsze jego słowo.

— Na miejscu, kula ugodziła w serce. Miało to miejsce po zachodzie słońca: ciało zabitego przeniesiono do pana Turner, gdzie się dotąd znajduje.

Jakby przez mgłę przypomniały się Karolowi owe liczne światła widziane w domu pana Turner; uczuł w głowie straszny zamęt. Ścisnął czoło rękami i patrzył na Hewitt'a ogłupiałym wzrokiem. Przez parę chwil zdawało mu się że oszaleje.

— A gdzież... brat mój? zapytał nareszcie.

— Policya go przyaresztowała, gdyż przypadkiem nadeszło dwóch jej ajentów właśnie w chwili katastrofy.

Biedny Karol dowiedział się teraz że ów więzień prowadzony przez policyę i otoczony przez tłuszcze groźne wydające krzyki, był brat jego, sir Adam Andinian.

IV.

Wyrok.

Pogłoska o szalonym czynie Adama Andinian, którą większa część osób uważała tylko za nieszczęśliwy przypadek,—rozbiegła się szybko na wszystkie strony. Wiele okoliczności przyczyniało się do nadania jej niezwykłego rozgłosu, i wkrótce o tem tylko mówiono w całej okolicy.

Świeżo odziedziczony przez Adama tytuł i majątek; brak widocznych powodów do zbrodni; nazwisko młodej panienki wmieszane do tej sprawy, słowem wszystko przyczyniało się do zaostrzenia ciekawości publicznej. Było to rzeczą tak nieprawdopodobną, tak niesłychaną aby gentleman prowadzący dotąd życie spokojne i przykładne, aby człowiek dobrze wychowany, mógł zastrzelić kogoś rozmyślnie i z zimną krwią, rozpuszczano też z tego powodu różne plotki i bajki mniej więcej prawdziwe.

Sir Adam Andinian nie potrzebował oczekiwać przez kilka miesięcy w więzieniu na wyrok, jak tylu innych obwinionych; popełnił zabójstwo przy końcu czerwca, a w lipcu rozpoczęły się posiedzenia sądu przysięgłych. Adam w skutek indagacyi sądowej stawał przed przysięgłymi jako obwiniony o morderstwo rozmyślne, na mocy zaś śledztwa przeprowadzonego przez koronera za zabójstwo popełnione przez nieostrożność.

Jakież wrażenie cios tak straszny sprawił na mistress Andinian?

Boleść jej musiałaby w każdym wzbudzić politowanie. Byłoby to okropnem dla każdej matki, a cóż dopiero dla niej, która widziała w tym synu jakieś bożyszcze i kochała go więcej nad wszystko w świecie. Przybyła z sercem przepełnionem dumą do jego nowych posiadłości, i rachowała niecierpliwie dni i godziny oddzielające ją od chwili w której miał je ożywić i upiększyć swoją obecnością. Według jej wyobrażenia, jej syn ukochany, ten piękny sir Adam Andinian, powinienby zajmować najwyższe stanowisko jakie człowiek zająć może. Ah! jakaż straszna, niewysłowiona boleść przeniknęła jej serce, gdy Karol, przyniósł tę nieszczęsną wiadomość do Foxwood.

A Karol? — I dla niego także był to cios równie ciężki i bolesny; teraz dopiero rozumiał jak szczerze i gorąco kochał brata. Po rozmowie z Hewitt'em pośpieszył natychmiast do miasta upadając prawie pod brzemieniem boleści.

Udał się do bióra policyi i uzyskał pozwolenie widzenia się z Adamem. Sądził że zastanie brata jeszcze pod wpływem gniewu czy też jakiegoś innego uczucia które go przywiodło do popełnienia tak występnego czynu; omylił się, Adam siedział zupełnie spokojny w gabinecie naczelnika policyi któremu policyant zdawał jakieś raporta.

— Nie żałuję bynajmniej że tak postąpiłem, odezwał się natychmiast do Karola, ten człowiek otrzymał to tylko na co zasłużył. Gotówbym jutro uczynić toż samo gdybym był znów świadkiem podobnej zaczepki.

— Zastanów się, Adamie, jakie następstwa mogą pociągnąć za sobą podobne słowa, szepnął Karol, przerażony tem że brat mówi coś podobnego w obecności ajenta policyjnego.

— O! następstwa.. zgadzam się na nie... odpowiedział więzień podnosząc dumnie głowę. Nigdy jeszcze nie popełniłem nic takiego czego musiałbym się wstydzić.

Inspektor policyi położył pióro i zbliżył się do nich.

— Sir Adamie Andinian, rzekł, radzę ci w twoim własnym interesie abyś pamiętał o tem że czem ktoś mniej mówi, tem mniej się kompromituje. Jest to zasada, którą warto zachować w pamięci.

— Dziękuję ci za przestrogę, panie Wall, odpowiedział sir Adam który już dawniej znał inspektora, ale jeżeli sądzisz że jestem zdolny zapierać się mych czynności, to mylisz się bardzo.

— Był to bezwątpienia tylko wypadek, szepnął biedny Karol, jakby chciał podsunąć bratu odpowiedź; toż samo właśnie mówiłem Hewitt'owi.

— Hewitt wie doskonale jak się stało. Patrzył na to gdy pochwyciłem strzelbę, wycelowałem i strzeliłem, odpowiedział bez wahania Adam. Słuchaj, panie Wall, ten człowiek szukał śmierci, tak, *szukał*, powtarzam; zapowiedziałem mu że go zastrzelę jak psa, jeżeli raz jeszcze pozwoli sobie znieważyć pewną osobę. Nie zważał na moją przestrogę, powtórzył toż samo, więc ja też spełniłem obietnicę i zabiłem go. Przyznaj sam że musiałem dotrzymać słowa.

W umyśle inspektora zbudziło się w tej chwil podejrzenie—które objawił później—że sir Adam podlega jakimś zboczeniom umysłowym.

— A nasza matka; czy zapomniałeś o niej? szepnął znów Karol.

— To właśnie najwięcej mnie martwi, odpowiedział Adam już poważnym tonem. Tylko przez wzgląd na nią żałuję prawie tego co uczyniłem. Musisz koniecznie Karolu pojechać zaraz jutro do Foxwood i uwiadomić ją o tem co zaszło.

Jakież to ciężkie do spełnienia polecenie! Dotąd, biedny Karol nie potrzebował wywiązać się nigdy jeszcze z równie bolesnego zadania. Wybrał się do Foxwood zaraz nazajutrz rano, ale czuł że lżejby mu było na sercu gdyby wiedział że jedzie do własnego grobu.

W skutku dziwnego zbiegu okoliczności, prawie jednocześnie z powyżej opisanemi wypadkami, porucznik Karol Andinian awansował na kapitana, jednak w obecnym stanie rzeczy nie sprawiło mu to żadnej przyjemności, gdyż ten awans którego nie dawno jeszcze pragnął tak gorąco, stał się dla niego obecnie tylko źródłem nowych przykrości. Wszakże nie będzie mógł pozostać w wojsku jeźli Adam zostanie skazanym na śmierć; tak, nie mógłby i nie chciał pozostać choćby kara była nawet lżejszą; aby to było możliwem trzebaby zupełnego uniewinnienia, a czy podobna było spodziewać się tego? Karol rozumiał to dobrze, i wiedział że pod tym względem nie pozostawało mu prawo wyboru, że jako brat człowieka dotkniętego zniesławiającą karą, nie może pozostać wśród swych towarzyszów broni, i dla tego byłby już wolał opuścić służbę jako porucznik, niż po otrzymaniu stopnia kapitana.

Okazywano mu najżywsze współczucie, i obsypywano oznakami prawdziwego szacunku. Prosił o urlop i otrzymał go aż do ukończenia sprawy; potrzebował zaopiekować się bratem czynić za nim wszelkie możliwe starania. Niestety! na cóż to wszystko zdać się mogło gdy obwiniony głośno i otwarcie przyznawał się do winy.

W dniu wprowadzenia sprawy upał był tak wielki jak rzadko się zdarza nawet w lipcu, główne miasto hrabstwa napełniały tłumy ciekawych, których zbiegło się tam tysiące w nadziei że zdołają wejść do sali posiedzeń, a przynajmniej zobaczyć uwięzionego baroneta. Obiegała pogłoska że gdyby

nie gorące błagania matki jego, nie byłoby przesłuchania sprawy, gdyż sir Adam przyznawał się otwarcie do winy. Mówiono że ta kobieta tak zawsze imponująca i dumna, tak umiejąca panować nad sobą, włóczyła się u nóg syna zaklinając go na wszystko aby nie ściągał na siebie najstraszniejszej kary, uznając sie tak otwarcie winnym, aby pozostawił sobie możność otrzymania mniej surowego wyroku, a może nawet zupełnego uwolnienia. Dodawano że kapitan Andinian chciał zająć miejsce obok brata na ławie oskarżonych aby go otoczyć swą opieką, ale nie otrzymał na to upoważnienia.

Przesłuchanie sprawy trwało bardzo krótko i było nader zajmujące. Wprowadzono oskarżonego skoro tylko sędziowie zajęli swe miejsca. Publiczność, która powstała przez uszanowanie za ukazaniem się sędziów, podniosła się powtórnie wiedziona ciekawością, skoro wszedł sir Adam. Ci, którzy nie znali go przed tem, zadziwili się spostrzegłszy gentlemana z postawą tak pełną dystenkcyi, człowieka młodego i pięknego, z miłą i otwartą fizyognomią gdy się uśmiechał, ale dumną w spokoju; białe zęby które widać było za każdem peruszeniem ust, i siwe oczy były rzadkiej piękności. Nosił żałobę po stryju swym Józefie, i ukłonił się sędziemu tak ceremonialnie, jakby się znajdował w obecności królowej. Miał na palcu bardzo piękny pierścień z opalem otoczonym brylantami, który otrzymał w spadku po swym ojcu. Kapitan Andinian, także czarno ubrany, zajął miejsce przy stole obrońców.

Głównymi świadkami, a nawet możnaby powiedzieć jedynymi świadkami byli: Tomasz Hewitt i miss Turner. Doktor objaśnił jakim sposobem śmierć nastąpiła, to jest oznajmił ze kula przeszyła serce; paru ajentów policyjnych złożyło mało znaczące zeznania. Akt oskarżenia, równie jak obronę można streścić w krótkich słowach:

Pan Andinian (obecnie sir Adam) miał wiele życzliwości dla swej sąsiadki, młodej panienki, z którą, równie jak matka jego, żył od dawna w przyjaznych stosunkach. Była to miss Turner, młoda osoba zasługująca pod każdym względem na poszanowanie, której nigdy nic nie zarzucono, i której nie można było nic zarzucić. Kilka miesięcy temu, miss Turner poznała u swych znajomych młodego studenta medycyny, Marcina Scott. Śledztwo przeprowadzone z powodu śmierci pana Scott dowiodło, że pod względem obyczajów wiele można mu było zarzucić i że nie cieszył się dobrą opinią; co jednak nie upoważniało jeszcze do odebrania mu życia, dodał naiwnie adwokat. Pomimo wyraźnej odmowy udzielonej mu przez miss Turner, Marcin Scott nie przestał narzucać się jej ze swemi uczuciami, a co więcej, pozwolił sobie parę razy pocałować ją gwałtem, pomimo jej gniewu i oporu. Pan Andinian dowiedział się o tem, a ponieważ na nieszczęście ma charakter bardzo wybuchliwy i gwałtowny, rozgniewało go to bardzo. Oburzony tem że miss Turner jest narażoną na tak grubiańskie postępowanie, poszedł do jej prześladowcy i oznajmił mu, że jeżeli raz jeszcze poważy się wyrządzić jej podobną zniewagę, zabije go z pewnością. Pan Andinian wyraził się co do tego tak wyraźnie i stanowczo, że Marcin Scott zrozumiał to dobrze iż z pewnością dotrzyma słowa, w razie nowej napaści jego na miss Turner; pomimo to przestąpił ten zakaz przy pierwszej sposobności. Wieczorem, dnia 23, czerwca po powrocie miss Turner do domu po dłuższej nieobecności, Marcin Scott odwiedził jej wuja, i wybiegł za nią do ogrodu, gdzie w oczach pana Andinian (to jest sir Adama Andinian, bo już wtenczas odziedziczył ten tytuł po stryju), pochwycił nagle biedne dziewcze i pocałował w twarz kilka razy. Miss Turner, przerażona, oburzona, odepchnęła go gwałtownie i wybuchnęła głośnym płaczem, i wtenczas to oskarżony porwał fuzyę i zastrzelił Marcina Scott. Przypadek zdarzył że tegoż samego dnia polował na ptaki i miał tuż przy sobie nabitą strzelbę.

Pierwszym przywołanym świadkiem był Hewitt stary i wierny sługa oskarżonego. Niestety! świadectwo jego mogło być tylko potępiające.

— W tym dniu, rzekł, około ósmej wieczorem, potrzebowałem powiedzieć coś memu panu. Przeszedłem ogród i gaik, i znalazłem go przy sztachetach oddzielających jego posiadłość od posiadłości pana Turner; jednocześnie zdawało mi się że widzę jakąś walkę czy szamotanie się dwóch osób w głównej ulicy przyległego ogrodu, ale nie mogłem w pierwrzej chwili poznać ktoby to był, ponieważ promienie zachodzącego słońca padały mi prosto w oczy, wkrótce jednak poznałem miss Turner i Marcina Scott, który zdawał się przytrzymywać ją gwałtem. Wydarła mu się nakoniec z głośnym płaczem i przybiegła do mego pana jakby wzywała jego opieki...

— Cóż dalej? zawołał prezydujący, widząc że się zatrzymuje; co widziałeś następnie?

— Sir Adam pochwycił strzelbę leżącą obok niego na ławie, wycelował i strzelił... Marcin Scott podskoczył w górę a potem upadł. Pobiegłem do niego chcąc go ratować i przekonałem się że już zakończył życie. Oto wszystko, czego byłem świadkiem.

Pomimo tego oświadczenia nie dozwolono jeszcze oddalić się Hewitt'owi.

— Zaczekaj jeszcze, odezwał się prezydujący. Powiadasz że widziałeś jak oskarżony uchwycił strzelbę, wycelował i strzelił; czy to wszystko było wykonane z rozmysłem.

— Niezbyt pośpiesznie.

— Świadku, odpowiadaj wprost na moje pytanie. *Czy wykonał to z namysłem?*

— Zdaje mi się że tak. Nie śpieszył się. Ale może, dodał biedny Hewitt chcąc usprawiedliwić swego pana, sir Adam zapomniał już że strzelba była nabita, i chciał tylko udać że strzela dla przestraszenia pana Scott'a. Polował na ptaki rano, więc od tego czasu wiele już upłynęło godzin. Mój pan nie był nigdy okrutnym, przeciwnie, jest bardzo ludzki i miłosierny.

— Dla czegoż zostawił fuzyę na tej ławce, skoro już od tylu godzin była mu niepotrzebną?

— Nie wiem, mylordzie, ale sądzę że zapomniał o niej idąc na obiad. Sir Andinian jest zwykle bardzo roztargniony.

— Świadku, zapytał jeden z przysięgłych, w jakim celu szukałeś pana, i co chciałeś mu powiedzieć.

— Przyniesiono telegram i potrzebowałem oddać go panu.

— Czy nie wiesz jakie w tym telegramie znajdowały się wiadomości?

— Zdaje mi się że to był telegram z Foxwood.

— Z Foxwood?

— Był to telegram od mojej matki, odezwał się oskarżony głosem może zbyt podniosionym ale spokojnym, który zelektryzował cały sąd; donosiła mi że przybyła szczęśliwie do Foxwood, i że dzień pogrzebu sir Józefa nie był jeszcze stanowczo oznaczonym.

Obrońca oskarżonego pochylił się ku niemu niespokojnie, i prosił cichym głosem aby zachował milczenie.

— Dlaczegóż miałbym milczeć, odpowiedział głośno Adam, jeźli potrzebują jakiegoś objaśnienia które dać mogę.

Widocznie był to oskarżony, posiadający zupełnie odmienne usposobienie od wszystkich dotąd znanych.

Następnie zawezwano Różę Turner. Weszła w towarzystwie wuja i patrona; była ubrana czarno ale gustownie, i zdawała się bardzo wzruszona i zmieszana. Twarz jej była bardzo blada, i znać było że konieczność złożenia świadectwa sprawiała jej niewysłowioną przykrość; mówiła tak drżącym i przytłumionym głosem że trudno było desłyszeć co mówi. Trzy razy zapytywano jej jak się nazywa zanim zdołała odpowiedzieć.

Z jej zeznań nie dowiedziano się prawie nic nowego. Pan Scott narzucał jej się ze swemi uczuciami; wymagał koniecznie aby mu przyrzekła że pójdzie za niego skoro zostanie doktorem, odmówiła mu wyraźnie i stanowczo prosząc aby ją nie męczył więcej swem naleganiem. Nie zastosował się do jej żądania, a ciotka dopomagała mu poczęści, nie wiedząc że nie pozyskał sobie dobrej opinii. Marcin Scott pocałował ją dwa razy przemocą pomimo jej gniewu i oburzenia; uwiadomiła o tem pana Andinian—który okazywał jej zawsze wiele dobroci. Rozgniewało to bardzo pana Andinian i wtenczas to zagroził Marcinowi Scott że go zastrzeli jeżeli raz jeszcze pozwoli sobie wyrządzić mi podobną zniewagę. Nie podpadało wątpliwości że Marcin Scott zrozumiał że to nie było powiedziane żartem, że pan Andinian z pewnością dotrzyma słowa. Dotąd Róża Turner mówiła dość chętnie, ale następnie trzeba ją było prawie zmuszać do wymówienia każdego słowa.

— Świadku, wyjechałaś z domu w miesiącu maju; gdzie przez ten czas bawiłaś? zapytał prezydujący.

— W Birmingham.

— Jak długo tam byłaś?

— Nieobecność moja w domu trwała pięć tygodni.

— Kiedy wróciłaś? — Ale proszę mówić głośniej.

— Dwudziestego drugiego czerwca wieczorem.

— A więc w wigilię popełnionej zbrodni?

— Nie było to wcale zbrodnią, odpowiedziała Róża z żywością. Postępek sir Adama da się łatwo usprawiedliwić.

— Nie zostałaś tu przywołaną, świadku, dla objawiania twych osobistych przekonań, lecz aby odpowiadać na zadawane ci pytania. Czy Marcin Scott był u twego stryja wieczorem dnia 23 czerwca?

— Tak, ale że stryj był słaby i zatrzymał go przy sobie, nie mógł mi się narzucać ze swą obecnością.

— Więc później dopiero wyszłaś do ogrodu?

— Tak, i pan Scott musiał mnie spostrzedz gdy wychodziłam z domu, gdyż pośpieszył za mną natychmiast. Zobaczyłam że sir Andinian stoi przy sztachetach i szłam do niego.

— W jakim celu?

Chwila milczenia.

— Chciałam mu powiedzieć że pan Scott jest u nas.

— Czy widziałaś się już z sir Adamem po powrocie do domu?

(D. c. n.)

STRASZNA NOC.

Przez

K. ROBERT.

I.

Było to wśród lata. Pewnego dnia po południu państwo Laforêt, właściciele pięknej wilii w pobliżu małego miasteczka Nantua, siedzieli w eleganckim saloniku, którego wielkie oszklone drzwi wychodziły na ogród.

Słońce zaczynało już cokolwiek pochylać się ku zachodowi; więc nie skwarne ale ciepłe już tylko promienie padały ukośnie na krzaki i drzewa otaczające dom mieszkalny. W tych okolicach osłoniętych wysokiemi górami, wiatr nie szumi głośno ale zaledwie cicho szeleści wśród liści; piękne kwitnące kwiaty upajającą woń roztaczały do koła; wielka markiza rozpięta nad peronem łagodziła blask światła, półcień i orzeźwiający chłód panował w salonie.

W pięknem, wykwintnem tem pomieszkaniu, wszystko tchnęło dostatkiem i spokojem; łączyło w sobie wszelkie możliwe wygody, a szczęśliwym jego posiadaczom widocznie na niczem w niem nie zbywało—jeżliby już koniecznie chcieć mu coś zarzucić, to chyba za zbyt doskonały spokój i ciszę, mogące znużyć jednostajnością.

Oprócz państwa Laforêt znajdował się w salonie syn ich Fryderyk i młoda kuzynka Albertyna.

Dość już długo milczenie zalegało salon, gdy w tem przerwała je pani Laforêt, mówiąc:

— Mężu, dziś przypada dzień, w którym trzeba nakręcić zegar.

W tejże chwili Fryderyk siedzący przy oknie obok swej kuzynki, pochylił się ku niej, mówiąc półgłosem.

— Cóż znaczy ten szyderski uśmiech, Albertyno? cóż tak śmiesznego mogłaś dopatrzéć w słowach mojej matki?

— Ależ nic... owszem przecież to rzecz arcyważna nakręcenie zegara,—warto o niej myśléć i nią się zajmować... Boć to fakt niezwykły, jedyny w tym domu nie powtarzający się nieodmiennie co dzień.

— Godziż się w śmiech to obracać?

— A któżby się odważył śmiać z tego zegara, będącego tu rzeczywiście wszechwładnym regulatorem całego naszego postępowania i życia! Gdy podoba mu się wybić godzinę ósmą, wszyscy jak na komendę zrywają się z łóżka; w południe zgodnie z jego wolą podają obiad na stół; o drugiej wyprawia nas na przechadzkę, o ósmej każe zasiadać do wieczerzy... Doprawdy, jesteśmy jakby maryonetkami przykutemi do wskazówek tego zegara!

Fryderyk sposępniał; zaczął przechadzać się po sali, po chwili zbliżył się znów do kuzynki, mówiąc:

— Zajmij się czytaniem albo jakąś robotą, a nie będziesz się nudzić.

— Wszak widzisz że trzymam w ręku ten haft, i już od dwóch godzin drzemię nad nim.

— To wyjdź przejść się trochę.

— O! nie troszcz się o przechadzkę! jak tylko wybije zwykła jej godzina, pójdziemy wszyscy spacerować nad brzegami jeziora, aby uwielbiać zawsze jeden i ten sam wierzchołek góry, odbijający się zawsze w jednakich jego wodach.

— Czy nie chciałabyś aby zmienić położenie słońca, jezioro w poprzek obrócić i poprzenosić góry—a wszystko to dla zabawienia jednej pensyonarki!...

— Pensyonarki!... zdaje mi się mógłbyś nie nadawać mi tej nazwy, skoro już od roku skończyłam pensyę!...

Fryderyk usiadł znów obok kuzynki i rzekł z pewną powagą:

— Zanadto szczęśliwa jesteś, Albertyno, nie znasz co to cierpienia i smutki, i dla tego się nudzisz. Wprawdzie straciłaś rodziców, ale będąc zaledwie kilkomiesięcznem dzieckiem, znać ich prawie a tem więcej kochać ani uczuć tej straty nie mogłaś. Rodzice moi zastąpili ci ich miejsce otaczając najtroskliwszem przywiązaniem i opieką. Umieszczono cię na najlepszej pensyi, abyś nabyła nauk i talentów mających zapełnić i uprzejemnić ci życie; poczem wróciłaś do rodzinnego domu, gdzie kochana i pieszczona, otoczona dostatkiem i wygodami, nie masz nawet pojęcia o przykrościach i troskach zatruwających życie innych.

— A jakże!... ale nie koniec na tem; na domiar wymarzonego szczęścia, spotyka jeszcze ten niesłychany zaszczyt iż mam zostać żoną arcy uczonego kuzyna.

— Tak więc, mówił dalej, jesteś bardzo nieszczęśliwą i godną politowania!... Najlżejsza chmurka nie zasępia twego życia... nie znasz co to kłopoty i troski... nigdy łza nie błyska w twoich oczach... Rzeczywiście to rzecz okropna!... to ciężar nad siły!...

— A ty, mój panie, ani pojąć tego nie możesz że są inne jeszcze łzy prócz łez trosk lub rozkoszy.

— Tak, które podczas ziewania zraszają powieki... łzy wynikające z nudów... doprawdy nie powinnabyś przyznawać się do nich.

— Fryderyku, nigdy jeszcze tak niegrzecznie nie przemawiałeś do mnie.

— A ty nigdy tak przykrych nie mówiłaś mi rzeczy... może to burza której zapowiedź daje się czuć w powietrzu, tak drażniąco działa na nerwy.

— Deszcz ani pogoda nie mają nic wspólnego z mojem usposobieniem; czy cisza zalega, czy burza szaleje, wszystko mi jedno, i nie chcę abyś przemawiał do mnie w ten sposób!

— Zdaje mi się że sama zaczęłaś...

— Wcale nie... ty gniewasz się i unosisz za to iż według mnie prowadzimy tu strasznie monotonne i nudne życie.

— Być może—o ile się to do ciebie odnosi.

— Zdaje mi się że odnosi to do nas tu wszystkich zarówno.

— Bynajmniej; ja pierwszy nie narzekam bynajmniej na brak zmian i wstrząśnień zakłócających mi życie.

Milcząc utkwiła w niego pytające spojrzenie; Fryderyk mówił dalej z uczuciem:

— Kto kocha nie może się uskarżać na monotonność życia,—dni jego pełne są niepokoju i wzruszeń... Gdy jestes wesołą, swobodną, gdy uśmiechniesz się do mnie—jak wtedy gdy dałaś mi ten pierścionek... o! wówczas świat wydaje mi się rajem, wszystko do koła jaśnieje szczęściem i weselem... Gdy zaś jak dziś jesteś oschła, szyderska, kwaśna, wszystko ponurą przybiera postać... Wtedy przeklinając twoje nudy, chciałbym uciec na koniec świata, rzucić wszystko kraj, rodziców, aby nie patrzéć na ciebie i módz cię zapomniéć... Widzisz więc, Albertyno, że życie moje bynajmniej nie jest monotonne, ponieważ podlega twoim kaprysom.

Spojrzenie Albertyny rozjaśniało, chciała odpowiedziéć mu łagodniej i już wyciągała ku niemu rękę, gdy na nieszczęście w tej chwili właśnie zegar wybił godzinę, co usłyszawszy zawołała:

— Czwarta!... Założę się o co chcesz że w tej minucie wejdzie Maryanna z tacą i zawezwą mnie do nalewania herbaty.

Przepowiednia ziściła się w tej chwili.

Pan Laforêt zawołał Albertyny, wstała udając się do sali jadalnej, a Fryderyk tupnąwszy nogą z niecierpliwości, wybiegł z salonu. Będąc zanadto wzburzonym aby tego nie okazać, udał się do ogrodu i zaczął chodzić po alei wielkiemi krokami, wywierając gniew swój na najniewinniejszych gałązkach janowcu i jaśminu, które łamał nielitościwie uniesiony miłosnem oburzeniem, nie przychodząc na herbatę, dopokąd zasępiona twarz

jego nie wypogodziła się choć o tyle, aby rodzice nie dostrzegli silnego miotającego nim wstrząśnienia.

Podwieczorek się kończył; pani Laforét spojrzała w stronę swego sypialnego pokoju, co oznaczało że pójdzie tam włożyć szal i kapelusz, aby się udać *na przechadzkę po nad jeziorem*. Albertyna ziewała; Fryderyk marszczył brwi; pan Laforêt zażywał tabakę wcale na nich nie patrząc.

W tem weszła Maryanna, meldując jakiegoś zupełnie nieznanego pana, nazwiskiem Malvoisier.

Po zameldowaniu powtórzyła udzielone jej przez gościa objaśnienia. Pan Malvoisier kupił właśnie posiadłość ziemską o ćwierć milki tylko odległą, więc jako tak blizki sąsiad pragnął mieć zaszczyt przedstawić się państwu Laforet.

Fryderyk spojrzał na kuzynkę zamierzając powiedzieć jej że nastręcza się przecie niezwykła rozrywka—ale wstrzymał się wyczytawszy z jej twarzy że właśnie pomyślała to sobie.

Pan Malvoisier wszedł do sali.

Był to mężczyzna około lat trzydziestu, brunet, dobrze zbudowany, ubrany elegancko, ruchy jego były salonowe, powierzchowność ujmująca. Zwracała tylko uwagę cera jego nadzwyczaj ogorzała, co mogło się wydać dość szczególnem, skoro dopiero od paru dni przebywał na wsi.

Albertyna podała mu uprzejmie filiżankę herbaty—odwiedziny jego uwalniały ją od *nudnej przyjemności* od jednostajnej przechadzki o stale oznaczonej godzinie.

Rozmowa była dość ożywioną. Wyliczano liczne korzyści jakie przedstawiała wioska nabyta przez pana Malvoisier, który opuścił Lugdun, z zamiarem stałego w niej zamieszkania. Mówiono o pstrągach poławianych w jeziorze, o klasztorze Benedyktynów, w którym w IX wieku pochowany był Karol Łysy, o przędzalniach bawełny, o fabrykach dywanów, i wracano do pstrągów o których przecie warto było mówić, boć to przysmak nie lada. Pan Laforêt doskonale znał wielkość i wagę złowionych corocznie.

W ciągu tej rozmowy popijano herbatę, Albertyna nalewała ją nieustannie, a pan Malvoisier przyjmował każdą podawaną mu przez nią filiżankę, lecz można by wnosić że czyni to tylko dla tego aby mieć sposobność dotykania jej małej rączki, tak nieustannie wlepiał w nią wymowne spojrzenia.

Ale któż miał to dostrzedz? Fryderyk nie nauczył się jeszcze być zazdrosnym, nigdy dotąd nikt z młodzieży nie miał sposobności zbliżyć się do jego ukochanej; co do pana i pani Laforêt, ci nie podejrzywaliby wcale choćby daleko wyraźniejszych oznak zajęcia; Albertyna czuła wprawdzie jakiś prąd palący, wychodzący z tych spojrzeń, ale nie pojmowała jego natury ani niebezpieczeństwa.

Nareszcie pani domu zapytała pana Malvoisier o najświeższe wiadomości z Lugdunu; znała dobrze to miasto i miała tam wielu znajomych, ponieważ bywała w niem często podczas pobytu swej siostrzenicy na pensyi.

Opowiedział parę drobnych faktów, poczem zwracając się do Albertyny, dodał:

— Czy i panią zajmuje jeszcze co się dzieje w Lugdunie?

— Oh! rzekł śmiejąc się pan Laforêt, jeźli pragniesz pan zbudzić zajęcie Albertyny, to chyba opowiedz jej jakąś nową wiadomość o rabunkach i mordach.

— Jakto? zapytał przybyły.

— A to, muszę ci powiedzieć, kochany sąsiedzie, że siostrzenica moja nadzwyczajną znajduje przyjemność w opisach wielkich czynów zbójców i morderców, i dokonywanych przez nich napadów i rozbojów... Ze szczególniejszem upodobaniem odczytuje *Dzieje wypraw piratów i flibustierów* i sam widziałem jak żywo ją wzruszały opisy walk staczanych przez nich na morzu i na lądzie.

— Podobne upodobania właściwe są tylko osobom nie umiejącym oceniać prawdziwego dobra i piękna, rzekł z goryczą Fryderyk; przesycone wszystkiem, szukają nowych wrażeń w opisach występku i zbrodni.

— Mówisz bez zastanowienia, Fryderyku, przecie nie ma w tem nic tak złego że Albertyna lubi historyjki o awanturnikach i rozbójnikach morskich.

— Którzy niestety! już zniknęli z widowni świata, rzekła śmiejąc się Albertyna.

— Gdzież znowu! odrzekł jej wuj; a toć niedaleko szukając, mamy przecie tu głośnego w całej okolicy Bartol'a.

Usłyszawszy to nazwisko, nieznajomy drgnął lekko, a nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Co mi to za awanturnik, jakiś tam prosty chłop, złodziej zwierzyny! odrzekła pogardliwie Albertyna.

— Tak, ale złodziej niepoprzestający na byle jakiej zwierzynie... Z pomocą dwóch tylko wspólników zatrzymał na trakcie dyliżans pocztowy jadący do Genewy, zabił opierającego mu się podróżnego, a innych zrabował.

— Słyszałem coś o tem, rzekł jakby od niechcenia nowy sąsiad.

— Oh! rzekł pan Laforêt, zamieszkawszy w tej okolicy, co dzień czegoś nowego dowiesz się pan o Bartol'u. Rzeczywiście jest to jakiś szczególniejszy człowiek. Zaczął od bezprawnego polowania na lisy i na wydry, których tak wielka liczba znajduje się w naszych górach; następnie przybrał sobie całą bandę hultajów których został przywódzcą, zajmują się kradzieżą zwierzyny na wielką skalę, i nic nie opłacając prowadzą największy w tej okolicy handel futrami. Widać nie przestając na tem, Bartel zapragnął rozszerzyć swoją działalność, i zaczyna rozbijać po drogach... Jak powiadają jest już kolosalnie bogaty.

— Tak, a następstwem tego wzbogacenia będzie szubienica, do której nie dozwolą mu nawet własnym dojechać powozem... Dzięki sprawiedliwości Bożej, taki zazwyczaj bywa koniec podobnych zbrodniarzy, rzekł Fryderyk.

— Słyszałem coś, rzekł przechylając się na krześle pan Malvoisier, że ów rabuś ma być bardzo sprytny i przystojny... a nawet dość gładki w obejściu... tak iż widząc go niktby nie przypuścił z kim ma do czynienia.

— Tak jest, i to właśnie jest zadziwiającem, odrzekła pani Laforêt; wszyscy co mieli sposobność go widzieć przyznają że to człowiek niepospolity... Jest podobno piękny i ma mieć prawdziwie pańską minę. Doprawdy to rzecz niepojęta, jakim sposobem mógł nabrać dobrego zachowania i obejścia.

— A! natura dziwne płata figle, daje nie raz prostakom czego odmawia książętom, odrzekł jakimś dziwnym głosem nowy sąsiad... Opowiadano mi właśnie pewną o nim historyjkę—jaka miała mieć miejsce w tej właśnie okolicy.

— Jaką? jaką? zawołały obie panie.

— Nic nadzwyczajnego... chodzi o miłość jaką żywi w sercu.

— Miłość Bartol'a... rabusia i złodzieja zwierzyny! a to coś osobliwego zawołała Albertyna.

— Oh! opowiedz nam pan tę historyę! nalegała pani Laforêt.

— Otóż mówiono, rzekł pan Malvoisier, iż korzystając ze swej zdradliwej powierzchowności, Bartol pod różnemi pozorami wkręca się w różne, liczne zebrania, a nawet—ktoby się tego spodziewał—bywa nawet nie raz w kościele. Otóż pewnego razu zobaczył tam śliczną dziewczynę i pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Chciał zbliżyć się do niej, ale było to nader trudnem, gdyż ta, którą odrazu namiętną, bezgraniczną ukochał miłością—należała do jednej z najpierwszych rodzin w okolicy. Nie mógł z nią mówić, ale w oczach jej czytał iż zdolną była pojąć go a więc i pokochać wzajemnie. Bartol umiejący wszelkie pokonywać trudności, potrafił znaleźć sposób wejścia do domu państwa... których nazwiska nie wymienie—i tam powiedział ukochanej: Al...bino, jestem Bartol rozbójnik i złodziej zwierzyny, ale kocham cię wielką, bezgraniczną miłością... wiem że podobna jak ty kobieta potrafi wzgardzić przesądami świata... czuję że będziesz mi wzajemną—bądź moją!... uciekaj ze mną!... Powiedział to z zapałem, wlepiając w Albertynę palące spojrzenie. Zamilkł.

— I cóż dalej! co dalej? zapytała żywo.

— Ah! odrzekł przesuwając ręką po czole, nie powiedziano mi co dalej, ale mam nadzieję że się dowiem.

— Więc nie wiadomo czy dała się namówić do ucieczki? zapytała pani Laforét.

— Nie wiem... a tak bym pragnął się dowiedzieć, odrzekł nieco drżącym głosem.

— Jaka szkoda że nie powiedziano panu końca, zawołała z wielkiem ożywieniem Albertyna.

— Są to po prostu jakieś smieszne, niestworzone brednie! zawołał unosząc się Fryderyk.

I powiedziawszy to powstał. Sądząc że jest to godzina spoczynku, gość poszedł za jego przykładem. Jednakże przed oddaleniem się prosił aby mu wolno było korzystać często z tak miłego sąsiedztwa, na co zezwolono najuprzejmiej.

Dziwnem się to musi wydać, iż pomimo że Fryderyk tak gorąco kochał Albertynę, nie zwrócił uwagi na widoczne zajęcie się nią nowego sąsiada i nie lękał się nowych, częstych jego odwiedzin. Ale jak powiedzieliśmy, dotąd zazdrość nie zbudziła się w jego sercu, a dnia tego tak był przygnębiony złym humorem i cierpkiem z nim obejściem się narzeczonej, iż patrzył nie widząc.

Niespodziane te odwiedziny, nie zakłóciły także spokoju młodej dziewczyny. Wprawdzie odgadywała wrażenie jakie sprawiła na panu Molvoisier, ale nie oddziałało ono na nią, ponieważ był jej dotąd zupełnie obojętnym, a nadto obiecywała sobie że nowa ta znajomość zdoła wpłynąć na ożywienie jej tak monotonnego życia.

Po odejściu p. Malvoisier, wszyscy przeszli do swoich pokoi. Pani Laforêt zaleciła aby dobrze pozamykali okiennice, gdyż co raz więcej zbiera się na burzę, więc w razie gdyby grad padać zaczął, mógłby powybijać szyby.

Pokój Albertyny był na dole, obok salonu. Wszedłszy do niego ze świecą postawiła ją na toalecie; światło odbijające się w źwierciadle rozjaśniło wykwintne i eleganckie stojące na niej przyrządy. Tuż obok na łóżku leżał śliczny nocny czepeczek, śliczny batystowy negliż, oszyty drogiemi koronkami, piękna haftowana koronkami przystrojona poduszka, bogata błękitna atłasowa kołdra; łóżko osłonięte było muślinowemi także haftowanemi firankami, których deseń odbijał się na posłaniu.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 11.

(Dokończenie.)

U dołu przy prostym brzegu, dodany jest prosty kawałek materyału 15 cent. długi, 36 szeroki, który równie jak górny zwierzchni kawałek przyszywa się z trzech stron i służy do przytrzymania włosianego materacyka, uszytego formą środkowej części poduszki i powleczonego poszewką. Prócz materacyka dodana jest watowana podkładka, pikowana w skośne kwadraty, 117 cent. długa, złożona we dwoje i wywinięta do wierzchu; z każdej podłużnej strony przyszyte są końce po 30 cent. długie, które wiążą się dopiero po ułożeniu dziecka. Posłanie składa się jeszcze z kawałka grubego barchanu 48 cent. długiego a 40 szerokiego i z równie dużego kawałka ceraty.

N. 23—24. Sukienka dla dziecka noszonego w poduszce.

Kraje się z jednego kawałka podług fig. 23, podającej czwartą część sukienki, z wypisaniem całkowitych miar długości i szerokości. Po zszyciu ramiączek płaskim szwem od 1 do 2, wszywa się od 3 do 4 rękawki przykrojone podług fig. 24. Przybranie sukienki powinno być takie jak przy poduszce.

N. 25—27. Sukieneczka włóczkowa dla małego dziecka.

Spódniczka składa się z trzech brytów prostych, robionych oddzielnie, z których środkowy liczy 35 oczek szerokości, dwa boczne po 30 oczek. Próbkę roboty wskazuje ryc. 27; bryty połączone są z prawej strony rzędem oczek ściśnionych, włóczką ponsową: długość sukienki dopełnia się szlakiem w deseń pleciony podług ryc. 26. Staniczek robi się oddzielnie, rzędami tam i napowrót; rękawki robione w kółko z cieńszej włóczki, łączą się po skończeniu z pachą, obrobioną poprzednio rzędem oczek ścisłych.

N. 28. Koszulka dla maleńkiego dziecka. Krój na arkuszu N. IX, fig. 25.

Przody i plecy krają się podług fig. 25 i łączą szwem z boków od 5—6; u góry przy wykroju pozostawiony okrągławy wykład, który ozdobiony dwoma rzędami wstawki i koronką, wywija się na wierzch podług ryc. 28. Rękawki krajane w jednym ciągu ze stanem, przedłużone są wszywką i koronką i zszyte od 7—8 płaskim szwem na ramieniu.

N. 29. Płaszczyk z kapturkiem. Krój na arkuszu N. VI, fig. 18—21a.

Blado niebieski kaszmir i takiż atłas użyty jest na płaszczyk, z białą kaszmirową podszewką, lekko podwatowaną i pikowaną, którego formę daje fig. 18, z oznaczeniem miar długości i szerokości; rękawy krają się podług fig. 19; peleryna dopasowana podług fig. 20, zeszyta jest przy brzegach skośnych środkiem plecow, a na ramionach od *v* do *w*. Brzegi pelerynki objęte atłasową wypustką, daną i na przecięciach po 15 cent. długich, danych w odstępach 20 cent. i sznurowanych jedwabną pletnią. Prócz tego dane plisowanie 27 cent. szerokie, podszyte od spodu peleryny, wysunięte tylko na 14 cent. i podłożone koronką 6 cent. szeroką. Fig. 21 daje krój kapturka zszytego środkiem z tyłu od *x* do *z* i ozdobionego podszewką atłasową. Wykrój szyi płaszczyka, peleryny i kapturka wszyty razem w pasek od *x* do *z*; z przodu dane guziki z konchy perłowej.

N. 34—35. Ubranie wizytowe z koronkową chusteczką.

Całe ubranie w kolorze czarnym, składa się z krótkiej spódnicy z materyi surah, zakończonej szerokim koronkowym wolantem, z tuniki z przodu ściętej w ząb, spuszczonej nakształt fartuszka, a z tyłu dopełnionej prostym podpinanym brytem również ogarnirowanej koronką i ze stanika pod szyję, z krótkiemi koronkowemi rękawkami, oryginalnie przybranego koronkową chusteczką. Tylny środkowy ząb chusteczki wzięty jest do przodu, końce zaś przerzucone przez ramiona, skrzyżowane są na plecach, poczem znowu zwrócone do przodu i zapięte gałązką kwiatów. Na ryc. 34 widzimy takąż chusteczkę z białej hiszpańskiej koronki. Przy krótkich rękawkach konieczne są długie rękawiczki lub mitenki.

N. 37. Ubranie wizytowe z bawetowym stanikiem.

Do spódnicy morowej przybranej tylko u samego dołu, dodany stanik bawetowy aksamitny z mocno odstającem panier. Przybranie stanowi rodzaj kamizelki odznaczonej przez naszycie koronki i kołnierza z mory lub atłasu. Krótkie rękawki ażeby równo odstawały, są lekko podwatowane, zakończone szeroką plisą i koronką. Przy kokardzie danej z lewej strony bawetu można przyczepić wachlarz.

N. 38. Suknia z krótko podpiętem vêtement.

Do spódnicy z ciemnej mory dodane jest krótko podpięte vêtement z jasnej adamaszkowej jedwabnej materyi. Przody i boki sfałdowane à panier, oszyte są czarną koronką 15 cent. szeroką i podpięte atłasowemi kokardami. Przy plecach trzeba dodać materyału na podpięcie widoczne na ryc. 38, oszyte z brzegów koronką. Rękawy sięgające tylko do łokci, zakończone są falbanką odwiniętą w górę i ogarnirowane podwójnie crêpe-lisse. Takiż garnirunek dany pod szyją przy stojącym kołnierzu.



N. 1. Suknia z tremem i krótką draperyą à panier. Patrz r. 19 tudzież r. 44 w N. 13.

N. 2. Ubranie strojne z krótką spódnicą.

Opis do N-ru 12.

N. 1 i 19 i ryc. 44 w N. 13. Suknia z trenem i krótką draperyą à panier.

Przednie bryty spódnicy z atłasu w kolorze vieil-or, ułożone są naprzemian w bufy $6\frac{1}{2}$ i pasy przemarszczane $3\frac{1}{2}$ cent. szerokie, u dołu przyszyta 16 cent. szeroka falbana z nagłówkiem, układana w 6 cent. szerokie potrójne kontrafałdy. Vêtement zrobione z aksamitu złotawo-bronzowego, broszowanego albo wytłaczanego w deseń. Stanik bawetowy ze stojącym kołnierzem, wewnątrz podszytym przemarszczanym atłasem, jest z przodu kwadratowo wycięty i zapięty na patki 10 cent. długie, mające formę zębów spiczastych, które kraje się razem z przodami; patki zachodzą na plastron atłasowy przemarszczany, mający w górze 18 cent. szerokości, do dołu bawetowo zwężony w sposób wskazany na ryc. 44 w N. 13. Pod rękawy trochę bufiasto w górze odstające, u dołu w zęby spiczaste wycięte, dodana bufka atłasowa, 11 cent. szeroka. Baskinę pleców zdobi kokarda ze wstążki atłasowej bronzowej z lewą stroną koloru vieil-or. Ułatwienie kroju panier z przodu pod bawet zachodzącego, z boków do 25 cent. długości sfałdowanego i pod wązkim trenem na tasiemki związanego, dajemy na ryc. 19, zarówno jak miary długości i szerokości trenu lekko podpiętego.

N. 2. Ubranie strojne z krótką spódnica.

Gładka spódnica z pekinu w pasy aksamitne i morowe, ozdobiona jest u dołu 10 cent. długiemi przecięciami, w które wszywa się trochę przymarszczony aksamit; w środek przedniego bryta wstawiony także pas aksamitu gładkiego. Krótka draperya z surah, bufiasto na biodrach upięta, z tyłu zachodzi pod wielką kokardę z szarfy szerokiej morowej, opasanej koło stanika z bawetem i z przodu na węzeł związanej. Stanik z gładkiego aksamitu z rękawami do łokcia, jest przy wykroju szyi w pasek wszyty i na guzik spięty, poniżej wycięty w trojkąt, w któren wstawiony jest żabot z materyi „à la juge”.

N. 3 i ryc. 36 w N. 13. Poduszka do kanapy, haft złotem na aksamicie wytłaczanym w deseń.

Środek poduszki stanowi kwadrat aksamitu z wyciskanym deseniem, którego trochę więcej $\frac{1}{4}$ część dajemy na ryc. 36 w N. 13. Kontury figur obwiedzione są złotym sznureczkiem przeszywanym przez wierzch nitką złotą. Przy wązkich skośnych paskach na tle figur dodana z jednej strony nitka złota, przyszyta krytemi ściegami, zaś szerokie proste paski zdobią ściegi złote, dawane w równych odstępach, jak to widać na ryc. 36. Haft otacza 10 cent. szeroki szlak z gładkiego pluszu, a brzegi poduszki oszyte są grubym jedwabnym sznurem, rogi zdobią pompony.

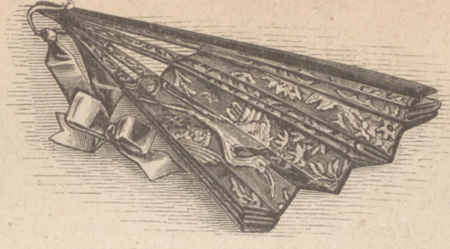
N. 6—7. Dwie strojne spódniczki pod suknie.

N. 6. Spódniczka z haftowanemi falbankami.

Odrobiona z atłasu czarnego lub kolorowego; n flanelkowej kolorowej podszewce, przestębnowana jest w skośne pasy i wszyta w pasek kolisty niezbyt szeroki. Garnirunek 30 cent. szeroki stanowią falbanki atłasowe w maszynie haftowane i plisowania 7 cent. szerokie.

N. 7. Spódniczka z białej surah.

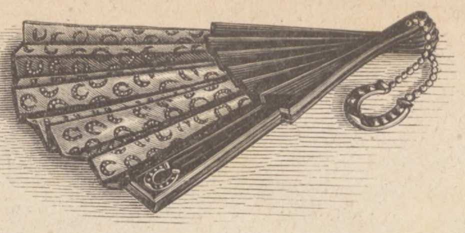
Garnirowana koronką podszyta była blado-niebieskim pluszem. U dołu przyszyte szerokie plisowanie z blado-niebieskiego atłasu, na które do połowy zachodzi lekko nadmarszczona koronka, nad koronką plisowanie zakończone nagłówkiem. Drugą koronkę równie szeroką jak dolne plisowanie przyszywa się od spodu do podszewki. W szeroki pas kolisty w górze nawłóczy się wązką wstążkę, niżej zapina na guziki.



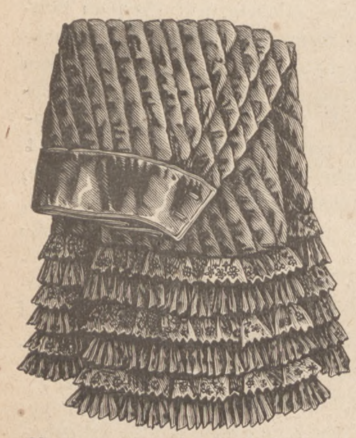
N. 4. Wachlarz z ażurową metalową oprawą oklejony materyą w deseń kolorowy.



N. 3. Poduszka do kanapy. Haft złotem na aksamicie wytłaczanym w deseń. Patrz ryc. 36 w N. 13.



N. 5. Wachlarz do ubrania spacerowego.



N. 6. Spódniczka z haftowanemi falbankami.

N. 10. Trzewik wycięty z wązkim noskiem do strojnego ubrania.

Trzewiki wiązane na kokardy, robione być mogą z cienkiej skórki lub czarnego atłasu na kolorowej podszewce z surah; do takich trzewików noszą się jedwabne pończochy, w które jako szczyt elegancyi, w miejsce ażuru wprawione są wstawki z prawdziwej koronki, tego co ończochy lub odmiennego koloru.

. 13. Kokarda z adamaszkowej materyi.

Ułożona była z dwóch kawałków adamaszku koloru bordo, mających 30 cent. długości a 50 szerokości, oszytych w dolnych końcach 10 c. szeroką koronką wenecką. Z jednego kawałka układa się na podstawie ze sztywnego tiulu bufę górną kolistą i krótki koniec, z drugiego rodzaj fałdowanego węzła pod bufą i koniec przefałdowany.



N. 8. Tarcza do ozdoby tek, szkatułek i t. p.

N. 9. Bucik do spacerowego ubrania.

N. 10. Trzewik do strojnego ubrania.



N 11—12. Parasoliki en-tout-cas.



N. 13. Żabot z adamaszkowej materyi.

N. 14. Żabot z gazy i koronki.

Trójkąt z gazy jedwabnej w pasy, mający w prostych brzegach 24 c. długości, oszyty koronką 6 c. szeroką, w górze sfałdowany, stanowi dolną część żabotu. Górną część układa się z 32 c. długiego



N. 14 Żabot z gazy i koronki.

a 7 szerokiego skosu oszytego koronką sfałdowanego i ozdobionego kokardą ze wstążki w atłasie, przepiętej złotą szpilką.

N. 18 i 45 w N. 13. Ubranie spacerowe z vêtement i pelerynką chusteczkową.

Do wiosennych spacerowych sukien, obok różnej wielkości pelerynek, modne będą chusteczki pelerynkowe robione z pluszu na ciepłej podszewce. Przody vêtement są z boków sfałdowane i krótko podpięte, a od spodu do baskiny pleców dodany jest prosty w górze sfałdowany bryt tylny, widoczny na r. 45 w N. 13.

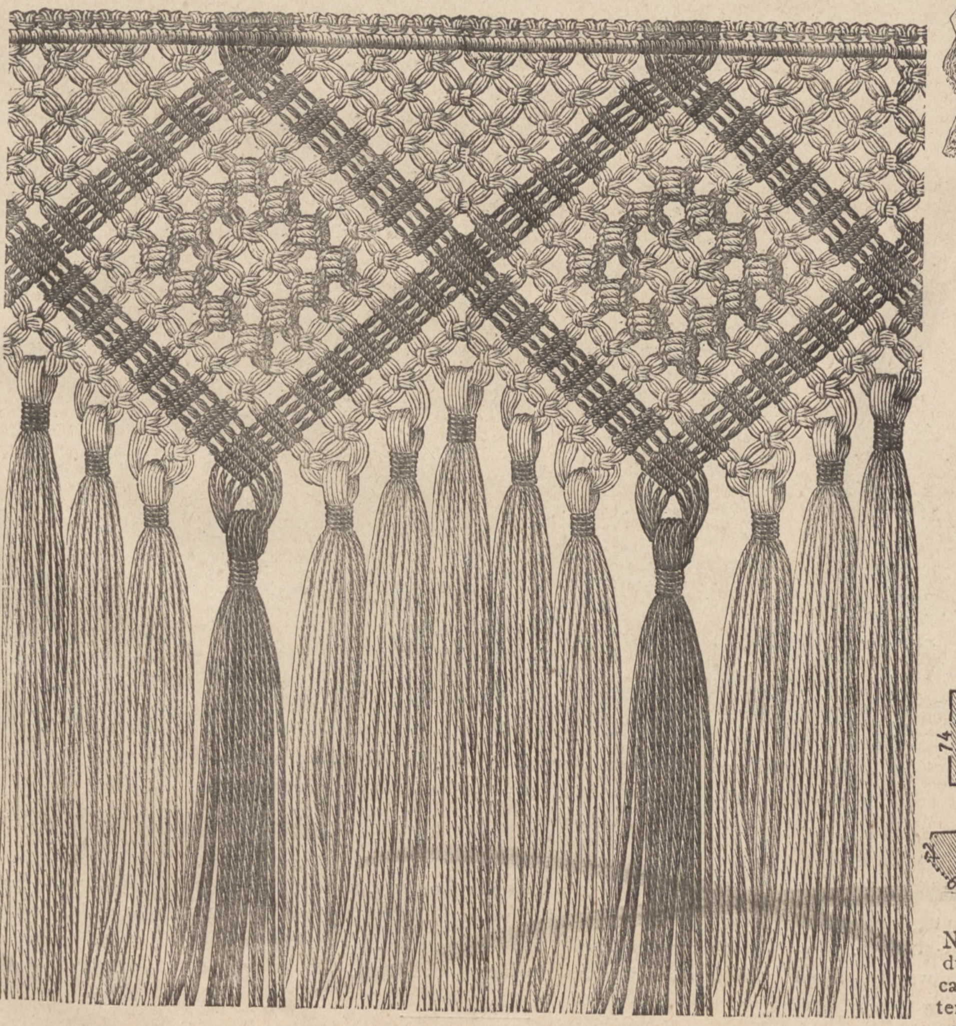


N. 7. Spódniczka z materyi surah garnirowana koronką.

Końce chusteczki zapięte są z tyłu kokardą sznelową z długiemi końcami. Do vêtement z ciepłego pledowego materyału w kratę, spódnica może być gładka wełniana w odpowiednim kolorze garnirowana falbankami jak na ryc. 18, albo pluszowa bez garnirunku jak na ryc. 45.

N. 21. Rzut na portjery, serwety i t. p. Haft renaissance ze złotem. Próbka haftu złotego na ryc. 15 w N. 13.

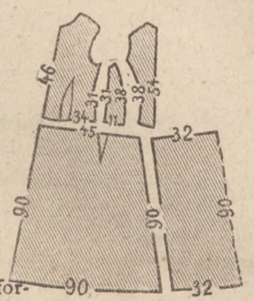
Skośnie mijające się rzuty stanowić mogą bardzo wspaniały haft na festonie portjery podanej na ryc. 22. Haft wykonywa się w krośnach na atłasie lub pluszu, z podłożeniem od spodu kretonu, kordonkiem jedwabnym, pelą i złotem; r. 15 w N. 13 przedstawia znacznie powiększoną próbkę haftu złotego, którym robi się środkowy punkt i mniejsze listki kwiatu; podłużnie dane nitki cienkiego sznureczka stanowią podłożenie pod haft, które pokrywają cienkie poprzecznie dawane nitki złote przeszywane co pięć sznureczków, przez wierzch idącym ściegiem jedwabiu złotego koloru. Ściegi te w następnych rzędach mijać się powinny skośnie o jeden podłożony sznureczek. W hafcie renaissance zapełnia się tło poprzecznie pelą, ściegiem płaskim, lecz dla



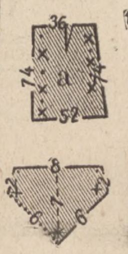
N. 15. Frendzla wiązana (macramé).



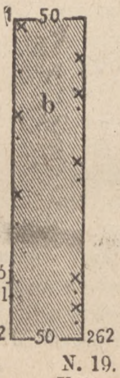
N. 16. Płaszczyk formą wcinanego paletota. Patrz ryc. 17 i ryc. 46 w N. 13.



N. 17. Wskazanie kroju do ryc. 16.



N. 20. Krój dużego palca do mitenki r. 22 w N. 13.



N. 19. Krój upięcia do

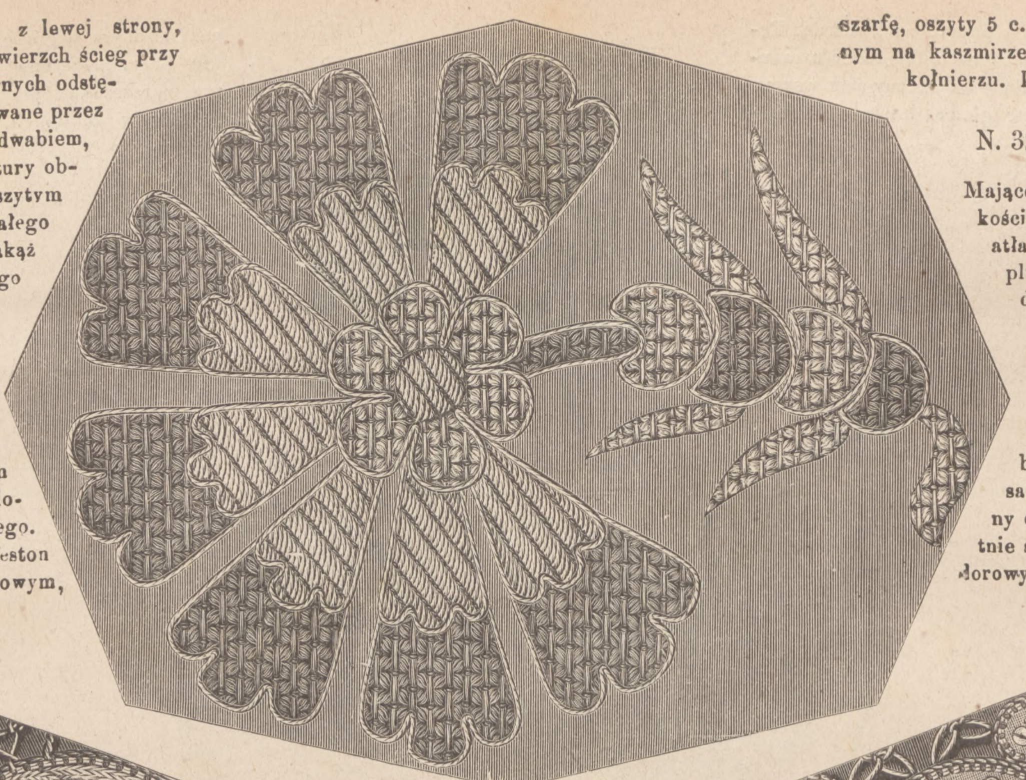


N. 18. Suknia z vêtement i chusteczką pelerynową. Patrz ryc. 45 w N. 13.

oszczędzenia peli, ściegi nie przechodzą z lewej strony, tylko igłę wkłada się i wyjmuje na wierzch ścieg przy ściegu. Na peli daje się wzdłuż, w równych odstępach, podłużnie nitki kordonku, przeszywane przez wierzch, co dwie nitki peli cienkim jedwabiem, którego ścieżki mijają się skośnie. Kontury obwodzone są złotym kordonkiem, przyszytym jedwabiem krytemi ściegami. Do tła białego bierze się kordonki purpurowe i takąż pelę w dwóch cieniach, do niebieskiego oliwkowe i t. p.

N. 22. Portjera z pluszu i materyi adamaszkowej.

Ryc. 22 przedstawia portjerę z pluszu zielonawo-niebieskiego, z festonem z adamaszku białego w deseń różnokolorowy, z podszyciem z pluszu niebieskawego. Bez porównania piękniejszy będzie feston haftowany na atlasie białym lub kolorowym, sposobem wskazanym na ryc. 21.

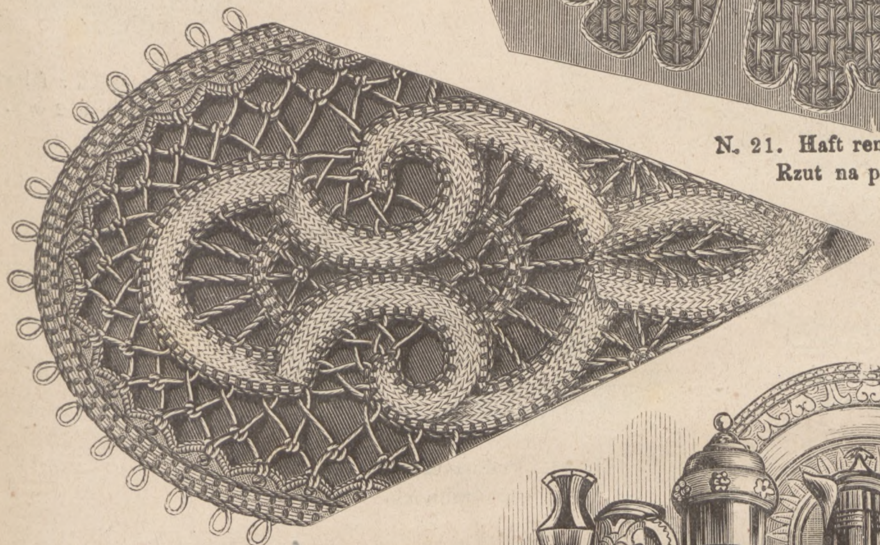


N. 21. Haft renaissance ze złotem. Rzut na portjery i t. p.

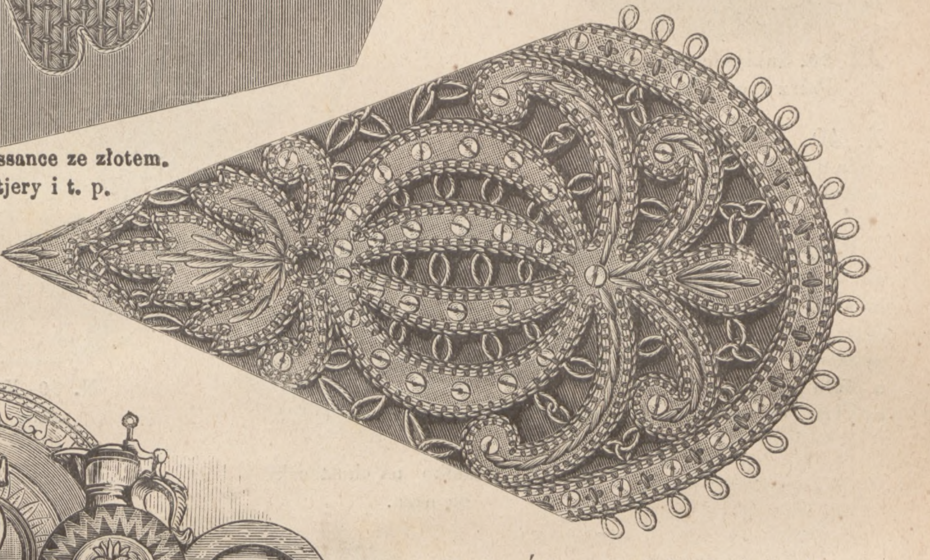
szarfę, oszyty 5 c. szerokim haftem maszynowym, robionym na kaszmirze jedwabiem niebieskim; takiż haft przy kołnierzu. Kokardy ze wstążki w atlasie.

N. 32. Pudełko na chustki batystowe.

Mające 24 cent. w kwadrat, a 6 cent. wysokości, robi się z tektury, wyściela wewnątrz atlasem kolorowym, a z wierzchu pokrywa pluszem i zdobi haftem. Haft robi się oddzielnie z plecionki złotej łączonej kratką z nitek złotych, a z brzegów odzierganej jedwabiem kolorowym. Tło które się następnie wycina z pod kratek, stanowi płótno niewarowe. Ósmą część deseniu dajemy na ryc. 23. Na boki spada koronka złota przyszyta torsadką jedwabną, przerabianą złotem. Inny deseń do haftu maurytańskiego na płótnie szarem, robiony złotem, blaszkami i kolorowym jedwabiem, dajemy na ryc. 24.



N. 23. Ósma część koła do pudełka na chustki do nosa ryc. 32.



N. 24. Ósma część koła zdobiącego pudełko do chustek do nosa ryc. 32.

N. 30. Sukienka z szarfą dla małej dziewczynki. Plecy na ryc. 1 w N. 13.

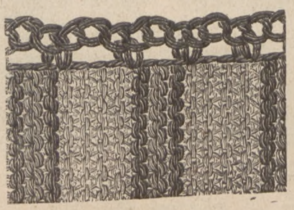
Plecy i boki białej kaszmirowej sukienki są gładkie, a przód w fałdy ułożony; spódniczkę dopełnia część plisowana, której przyszycie zakrywa bufa z białego atlasu. Przy dolnem przemarszczeniu fałd przednich, przyszyte są z boków szarfy atlasowe 12 c. szerokie, od spodu pod boczkami przeciągnięte, z tyłu w węzeł przewiązane lub przemarszczone i zeszyte jak na r. 1 w N. 13.

N. 31. Sukienka haftowana dla małej dziewczynki. Przód na r. 2 w N. 13.

Przód niebieskiej kaszmirowej sukienki zdobią trzy kontrafałdy przegradzane wązkiemi pliskami atłasowemi; z każdej strony pleców dana jedna kontrafałda $3\frac{1}{2}$ cent. szeroka i dwie pliski atłasowe. Na fałdowaną 14 c. szeroką spódniczkę, zachodzi ładny w trójkąty ścięty garnirunek zastępujący



N. 25. Spódnica od kostiumu, ryc. 14 w N. 13.



N. 27. Próba ściegu na drutach do r. 22 w N. 13.



N. 22. Portjera z pluszu i deseniowej materyi.

N. 34—41. Ubrania domowe dla pań i dzieci.

N. 34. Ubranie z fartuszkiem z kretonu w deseń turecki, oszytym koronką nicianą.

N. 35. Suknia z długiem vêtement.

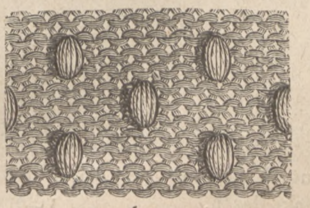
Ciemna wełniana suknia oszyta jest u dołu plisą aksamitną 35 cent. szeroką, nad którą dane ubranie złożone z dwóch gładko naszytych, jedna na drugą zachodzących części z materyału wełnianego, oszytych plisami z wypustką atłasową. Długie vêtement formą princesse, zapięte z przodu na guziki, fałduje się i podpina sposobem wskazanym na r. 35, tak, iż widać w gorze części kamizelkowe, a dalej garnirunek przodu spódnicy.



N. 26. Stanik do ryc. 25 i ryc. 14 w N. 13.

N. 39. Ubranie dla panienki lat 12—14.

Stanik zdobi plastron przemarszczany, u dołu sfałdowany i wolno puszczony; w pasie między boczne szwy



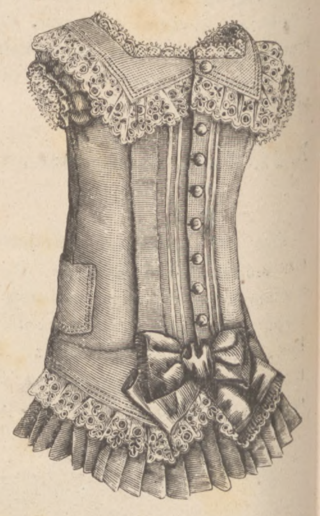
N. 28. Ścieg na drutach do ryc. 33.

stanika wszyte wstążki do związania z przodu na kokardę. Rękawy przemarszczane w górze zakończone bufką, u dołu mankietem aksamitnym. Kołnierz wykładany aksamitny jest wszyty w wysoki pasek. Spódnica może być gładka lub w około fałdowana.

zakończonym w górze przemarszczaniem i nagłówkiem. Szero-kie przymarszczone rękawy oszyte koronką. Mała peleryn-ka przemarszczana przy wykroju szyi i trochę nadmarszczona z brzegów przednich, oszyta jest plisami atłasowemi.

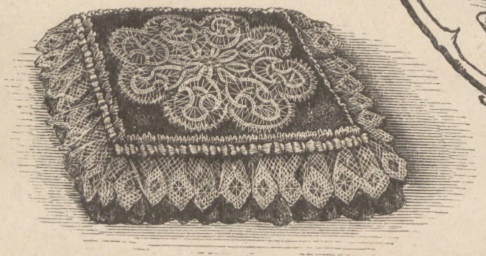

N. 30. Sukieneczka z szarfą. Patrz ryc. 1 w N. 13.

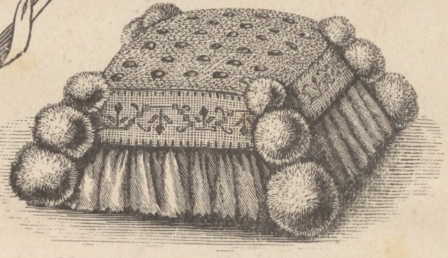

N. 29. Kapelusz aksamitny z koronką.


N. 31. Sukieneczka z falbanką haftowaną. Patrz ryc. 2 w N. 13.

N. 40. Ubranie ranne dla dam w wieku podeszłym.

Ciemna lub czarna kaszmirowa suknia formą princesse, z przodu zapięta na guziki, u dołu oszyta szerokim wolantem,


N. 32. Pudełko na chusteczki do nosa.


N. 33. Poduszeczka do szpilek podwójnych.


N. 34. Fartuszek z kretonu w turecki deseń.

N. 35. Suknia z długiem vêtement.

N. 36. Suknia z bawetowym stanikiem ubranym pluszem.

N. 39. Sukienka dla panienki lat 12—14.
N. 38. Sukieneczka przemarszczana.
N. 37. Ubranie dla małego chłopczyka.

N. 40. Ubranie negliżowe dla osoby w wieku.

N. 41. Sukienka dla małej dziewczynki.



Pl. 486.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.